12 stron

Cena 15 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok VI

Kraków, dnia 2 marca 1947 r.

Nr 9 (118)

ROZSTRZYGNIĘCIE PIERWSZEGO KONKURSU LITERACKIEGO DLA CZYTELNIKÓW „ODRODZENIA"

NA TEMAT

KTÓRĄ KSIĄŻKĘ DWULECIA 1945—1946 UWAŻAM ZA NAJLEPSZĄ?

Uczestnicy konkursu mieli wymienić jedną, dwie, nie więcej jednak niż trzy książki polskie, wydane w latach 1945—1946, które uważają za najlepsze.

Największą ilość głosów uzyskały:

„Z KRAJU MILCZENIA" Wojciecha Żukrowskiego (1591)

„MURY JERYCHA" Tadeusza Brezy (1450)

„NOC" Jerzego Andrzejewskiego (1302)

Dalsze miejsca zajęły kolejno: **„Dymy nad Birkenau" Seweryny Szmaglewskiej (1279), „L-jak Lucy" Janusza Meissnera (673), „Dywizjon 303" Arkadego Fiedlera (548), „Miasto niepokonane" Kazimierza Brandysa (474), „Medaliony" Zofii Nałkowskiej (447), „Jezioro Bodeńskie" Stanisława Dygata (425), „Sprawy Polaków" Edmunda Osmańczyka (416), „W rozwalonym domu" Jana Dobraczyńskiego (385).**

Pomiędzy uczestników konkursu, którzy wymienili wszystkie trzy książki, jakie otrzymały największą ilość głosów, rozlosowano trzy nagrody pieniężne:

Pierwszą nagrodę — 10.000 zł. — otrzymała **Jadwiga Olszewska**, bibliotekarka, Warszawa, Al. Jerozolimskie 95, m. 42.
Drugą nagrodę — 6.000 zł. — **Jerzy Bereda**, uczeń I klasy lic., Warszawa, ul. Mińska 33, m. 11.
Trzecią nagrodę — 4.000 zł. — **Maria Gołembiewska**, urzędniczka, Gdańsk—Oliwa, ul. Kaprów 7.

Pomiędzy uczestników konkursu, którzy wymienili przynajmniej jedną z trzech książek, jakie otrzymały największą ilość głosów, rozlosowano 200 książek ogólnej wartości 70.000 zł. Książki zostały ofiarowane przez redakcję „Odrodzenia", redakcję „Twórczości" (komplety czasopisma), dyrekcję Wydziału Wydawniczego „Czytelnika" w Krakowie i Wydawnictwo „Awir" w Katowicach (100 książek wartości ok. 30.000 zł.)

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMALI:

Stefan Amsterdamski z Łodzi, Sabina Albrechtowa z Piotrkowa, Abramowicz W. z Radomia, T. F., Witold Armon z Pożarowa, pow. Wartosław, Zdzisław Bucholc z Kożuchowa, D. Śl., Natalia Billi z Warszawy, Krystyna Bucholc z Kożuchowa, Maria Budzanowska z Piotrkowa Tryb., Zofia Bańkowska z Siedlec, Edward Binkiewicz z Pastęka, woj. olszt.), Wiera Binkiewicz z Pastęka, Wacław Bednarski z Czorsztyna, Teresa Bielecka z Krakowa, Begejowicz z Andrychowa, Henryk Białas z Jaworzna, mgr. Jadwiga Boberowa z Zakopanego, Janina Budzyńska z Wrocławia, Janina Begejowicz z Krakowa, B. Z. z Radomia, Henryk Szlachta Bitny z Torunia, Jadwiga Boleska z Łodzi, Zofia i Konrad Broszczykowie z Piły, Maria Bogucka z Gniezna, mgr. Bronisław Bednarczyk, Anna Basińska z Poznania, Anna Brahmer z Krakowa, Irena Bernstein z Warszawy, Danuta Bydłowska z Miłosławia, pow. Września, Józef Bieniek z Librantowej, pow. Nowy Sącz, Maria Bojarska z Krakowa, Marian Biernacki z Warszawy, Włodzimierz Chylewski z Łodzi, S. Chowaniec z Krakowa, Feliks Czaplicki z Rawy Mazow., dr. Józef Chodorowski z Wodzisławia Śl., Izabella Czermakowa z Krakowa, Tadeusz Chrzanowski z Krakowa, Ciszewska Halina z Warszawy, Janina Chrzanowska z Łodzi, Antonina Czarnecka z Krakowa, Albert Chodkiewicz z Warszawy, Maria Czerkawska z Krakowa, Jan Dobrowilski z Wolbromia, Jerzy Dzienio z Gliwic, Hubert Drapella z Wrocławia, mgr. Klara Dąbrowska z Milicza, Jerzy Dobruchowski z Konina, Zbigniew Drozdowski z Brzezia, Zbigniew Dąbrowski z Legnicy, Michał Dobroczyński z Będzina, Anna Dzierzbicka z Krakowa, Halina Epler z Krakowa, Gracjan Dziurla z Poznania, Stanisław Dzułyński z Krakowa, Marian Franczuk z Krakowa, Hanna Feist z Zakopanego, Władysław Findeisen z Warszawy, Władysław Gwoździński z Brzyski k. Jasła, Jadwiga Gorzkowska z Warszawy, Alojzy Gunia z Katowic, Wojciech Gutkowski ze Skolimowa, Irena Godlewska z Krakowa, Jerzy Grzybowski z Krakowa, Tadeusz Gabryelski ze Szczecina, dr. Bogusława Golachowska z Bytomia, Kazimierz Gawąd z Gliwic, Andrzej Głowacki z Warszawy, Kazimierz Grabowski z Krakowa, Halina Gruszczyńska ze Starogardu, Irena Hupertowa z Krakowa, Irena Gawronówna z Krakowa, Natalia Jelonek z Warszawy, Jerzy Jakubowski z Działdowa, Edward Jakubowski z Siedlec, Janina Jankowiak z Pleszewa, Maria Janion z Łodzi, Stefania Jedlińska z Krakowa, Bogusław Jędryszka z Lublina, Andrzej Jakliński z Krakowa, dr. Stefan Klara z Wrocławia, Anna Koszutska z Żerchowa, Władysław Kazimierski z Wolbromia, Stanisław Kramar z Komorowa, Henryk Kowalczyk ze Szczecina, Izabela Krzemieniecka z Pastęka, Stanisław Karolczyk z Łodzi, Adam Kannenberg z Krakowa, Tadeusz Kuppa z Wrocławia, dr. Juliusz Kijas z Rzeszowa, Barbara Kalinowska z Piotrkowa Tryb., Stanisław Kowalewski z Zakopanego, dr. Józef Korpała z Krakowa, Anastazja Klepacka z Milicza, Natalia Kaczyńska z Poznania, Helena Kamińska z Sopotu, Maria Koleśnik z Krakowa, Benedykt Kobielski z Wrześni, Leopold Kędzierski z Brodnicy n. Drwęcą, Aleksandra Kimlówna z Wrocławia, Krystyna Konieczna z Wrocławia, Mieczysław Kuźnar z Krakowa, Zygmunt Kluczek z Majdana Leśniowskiego, Stanisław Kallista z Krakowa, Alfred Kuzka z Warszawy, Jadwiga Lityńska z Krakowa, dr. Maria Letki z Gorzowa n. Wartą, dr. Kornelia Lippoczy z Tarnowa, Maria Łapicka z Koronowa k. Bydgoszczy, Danuta Łaptaś z Ząbkowic, D. Śl., Henryk Markiewicz z Krakowa, Jerzy Młynowski z Warszawy, Aleksy Moch z Bydgoszczy, Henryka Mitka z Dąbrowy Górniczej, Barbara Majewska z Częstochowy, Jerzy Machowski z Poznania, Stefan Mikuki z Krakowa, Halina Modzelewska z Krakowa, Wiesław Mierzyński z Krakowa, Stefan Macek z Oświęcimia, Zofia Nemethy z Łodzi, Janina Nowakowska z Łodzi, Mirosław Orłowski z Warszawy, Stefan Osyp z Jarosławia, Wiesław Osterloff z Głuchołaz, Irena Ostrowska z Sopotu, Klemens Oleksik z Poznania, Kazimierz Oleksik ze Zwolenia, Maria Pisarska z Łodzi, Henryk Parylak z Krosna, mgr. Roman Piekarek z Krakowa, Seweryn Pilipski z Brukseli, Romana Pachucka z Pułtuska, Albin Polak z Krakowa, Stefan Pojda z Gliwic, Lech Wiktor Piotrowski z Warszawy, Tadeusz Pietrzykowski ze Zduńskiej Woli, Eugeniusz Pastuszka z Krakowa, mgr. Karol Potrzobowski z Milanówka, dr. Jan Piechocki z Bydgoszczy, Hanka Przybyłowska z Krakowa, Jan Preker z Bydgoszczy, Maria Rajcherowa z Ożarowa, Anna Rudnicka z Krakowa, Wanda Rymnewiczówna z Warszawy, Maria Rówińska z Gdańska (Wrzeszcz), Irena Reślińska z Pleszewa, Leopold Rozental z Torunia, Leszek Röhrenschef z Warszawy, Edward Ruziewicz z Warszawy, Andrzej Stwosz z Krakowa, Janina Smulska z Siemiechowa, pow. Tarnów, Mirosław Szczypiński z Gdańska, Henryka Szymaniakowa z Łodzi, dr. Bronisław Seyda z Żar, D. Śl., Maria Strumpfowa z Katowic, Fryderyk Siess z Krakowa, Andrzej Sare z Lanckorony, Stanisław Sarama z Łodzi, Apolonia Stelmachowa z Krakowa, Henryka Skwarczyńska z Wrocławia, Roman Sobol z Jarosławia, Kazimiera Szarlitt z Krakowa, Ingeborga Schultz z Zakopanego, Wanda Stanisławska z Bielska, Adam Synowiec z Krakowa, Maria Szmajowa z Gdyni, Andrzej Szypulski z Białegostoku, Irena Siedlecka z Warszawy, Jerzy Swierczyna z Piekar Śl., Witold Sikorski z Torunia, mgr. Władysław Skoczylas z Lublina, Marian Trachimowicz z Gliwic, Jerzy Timmer z Poznania, Donat Tara[illegible]owicz z Lublina, mgr. Stanisław Trębaczkiewicz z Łodzi (Radogoszczy), Alina Tuszowska z Bydgoszczy, Zygmunt Talik z Krakowa, dr. Emil Urman z Bytomia, Halina Urbanowicz z Ożarowa, Zdzisław Wróbel z Torunia, Karolina Witoszyńska z Tarnowa, Stefan Woldan z Milanówka, Włodzimierz Wnuk z Krakowa, Jarosław Wołejko z Bydgoszczy, Stanisław Warszewski z Kielc, Krystyna Wierzyńska z Korlina, Maryla Witkowska z Pyr, Roman Wrażeń z Dynowa, Włodzimierz Zarychta z Czeladzi, Halina Zamtyńska z Krakowa, Janusz Żmudziński z Warszawy, Ludwik Żurek z Kalwarii Zebrzyd., Zmitrowicz z Sopotu, Krystyna Zielińska z Rabki, Janina Żmudzińska z Warszawy, Janina Zielińska z Krakowa, Jerzy Zieliński z Bytomia, Jadwiga Zacna z Krakowa, Zdzisław Zembura z Krakowa.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

List z Paryża

Paryż, w lutym 1947 r.

Wiele razy brałem do ręki i wiele razy odkładałem to nabyte w „Galeries Lafayette" pióro automatyczne, które bez zatrzymywania się przy zbiornikach z atramentem może przebyć trzydzieści pięć kilometrów w linii prostej. Tylko od charakteru (pisma) posiadacza zależy ilość przeżyć, które na tym odcinku się zmieszczą. Wielka odpowiedzialność pisać takim piórem, tym bardziej, że długość myśli wciąż nie jest jeszcze ustalona! Nawet myśli krótkie, takie, które nie prowadzą ani na koniec świata, ani w nieskończoność, mogą, jak to nam ukazał dosadnie monolog wewnętrzny u Sartre'a, Camusa i Amerykanów, przebyć na powierzchni pomarańczy dziesięciokrotną odległość z Paryża do Warszawy. I jak tu takim piórem napisać np. powieść nowoczesną, w której każdy bohater, chcąc usprawiedliwić swoje prawo do życia, musi w sobie wzbudzić takich myśli co najmniej sto dwadzieścia? Usiłowałem, lecz doszedłszy do miejsca, kiedy brat pierwszoplanowej postaci, po definitywnym zerwaniu z narzeczoną tamtego, położył się do łóżka i dużym palcem od nogi zaczął wykonywać ruch naśladujący obrót wskazówki zegara — zniechęciłem się. Wiedziałem bowiem, że za chwilę skojarzy on te dwie czynności i czas, demiurg nowej literatury powieściowej, przemiesza mu przeszłość, teraźniejszość, przyszłość i że dopiero się zacznie!

Świadomość, że mogę przebyć tylko 35 kilometrów, paraliżowała umysł i wyobraźnię. W poematach bałem się kojarzyć przedmiot z jego pojęciem i na licznych, niedopisanych stronicach leżą nie posiadające cech im właściwych kamienie, krajobrazy i nostalgie. Tam góra czeka na swoją wysokość, tam drzewo na szelest dla liści, a tu ja sam czekam na szczęście. Zawsze ustawałem w połowie myśli, choćby była tak krótka jak dzień bez strapienia.

A w listach zamiast długiego zwrotu grzecznościowego pisałem krótko: „z wyrazami". Oczywiście nie z braku uszanowania dla adresata, lecz z obawy przed „głębokością" lub „wysokością" uczuć, które, kto wie, ile by kilometrów pożarły.

Tego wszystkiego żałuję dziś, ale przyznam nie bardzo. Parkerem, którym zostałem obdarowany na gwiazdkę, uzupełnię braki wynikłe ze skrępowania wyobraźni, a jeśli nie napiszę powieści, chociaż nigdy nie wiadomo, to już z innego powodu. Bardzo natomiast żałuję (dlatego poprzedniego żalu nie określiłem superlatywem) tych wielu zjawisk, które w moich oczach rodziły się, żeniły z innymi, rozwodziły się, umierały, a ja, do niedawna wzorowy urzędnik w biurze rzeczywistości, zagapiłem się, zacukałem, zamiast spisywać akta metrykalne. Żałuję tym bardziej, że były to przecież zjawiska przemijające, po których większości pozostał tylko ten mój żal dzisiejszy i rozgoryczenie kilku ludzi, którzy nie znając wynalazku pióra automatycznego mieli prawo spodziewać się po mnie relacji bezpośrednich i wyczerpujących.

I nawet nie będę się usprawiedliwiał tym, że istnieją sprawy, których ważność trwa jeszcze, że są one ciekawsze przez swoje skomplikowanie teraz niż dawniej i że mój obecny stopień zorientowania pozwoli mi je wierniej przedstawić.

Rzecz zrozumiała, że zobrazowanie takich zagadnień, jak, podając przykładowo, sprawa wyobraźni fenomenologicznej w poezji lub czasu w powieści, albo w ogóle sprawa literatury „czarnej" zyska tylko na mojej wstrzemięźliwości. Rzecz jasna, że sylwetek nowych klasyków literatury francuskiej jak Saint Exupéry, czy wyraziciel nowej wrażliwości w prozie i poezji, jak Camus, Michaux, Ponge, Char, nie potrafiłbym skreślić wcześniej. Lecz, i to jest również jasne, zawiniłem milczeniem o zdarzeniach, które nie mają dnia następnego (a więc tym intensywniej żyją), jak powrót André Bretona, wybory nowych członków do Akademii lub konferencja UNESCO. Nie przedstawiłem laureatów nagrody Goncourtów, Fémina i Interallié, ani pana Parkera, który zbiera materiał oskarżycielski do procesu Henryka Millera. Moja wina!

A czas, mój Boże! Artur Koestler zdążył już rozpętać ogromną dyskusję wokół siebie, udzielić wielu wywiadów, wystawić sztukę w teatrze i wydać siedem książek na przestrzeni niewielu tygodni, co można tylko porównać z poetycką produkcją Pierre'a Emmanuela. Nieliczna, lecz wpływowa literacka grupa „Combat" usiłowała stary zwrot powitalny „Comment ça va?" zastąpić nowym: „Czy czytał pan «Zero i nieskończoność»?" Właściciel hotelu, w którym mieszkam, książkę tę przeczytał przede mną. Gdy mnie powitał tak po raz pierwszy, drugi i trzeci, byłem zbudowany szybkością, z jaką snobizm literacki rozprzestrzenia się w tym mieście. Kiedyż to u nas, myślałem, dozorca na Teresy swoją życzliwość dla lokatorów wyrazi tytułem książki Kisielewskiego? Ale dopiero gdy mogłem odpowiedzieć twierdząco na postawione mi pytanie, zacząłem rewidować mój pogląd na snobizm i życzliwość. Facet szukał po prostu zaczepki. Do dziś dnia nie wiem, co go do tego skłaniało. Z czynszem staram się nie zalegać, o zmianę pościeli awanturuję się nie częściej, niż to jest w zwyczaju, i nawet nie zainstalowałem w pokoju maszynki spirytusowej. Za czwartym razem musiało dojść do wymiany poglądów na sprawę. Na uśmiech odpowiedziałem uśmiechem, a na pytanie stwierdzeniem, że książka jest interesująca, napisana z talentem i pobudzająca do dyskusji. Że niektóre sceny, jak np. przedstawienie życia więźnia „dożywotniego", który całe zainteresowanie światem zeskrodkowuje wokół spraw erotycznych, są przeraźliwie ostre. (Dialog wstrząsany szyfrem więziennym jest istotnie świetny. Oto dla ilustracji niewielki, poszarpany, odarty z komentarza autorskiego fragment, który, spodziewam się, spotka się ze względami purytańskiej redakcji:

„Roubachof... — Tak... Jak dawno miał pan kobietę... ? Trzy tygodnie temu... Niech mi pan opowie. Wszystko... Westchnął z rezygnacją i wystukał: Piersi złociste jak jabłka. Spodziewał się, że utrafił w ton właściwy. Zgadł, gdyż tamten napierał: Dalej. Szczegóły... Roubachof wystukał sumiennie: Uda dzikiej źrebicy. Przerwał wyczerpany. Mimo najlepszej woli nie mógł już więcej. Lecz tamten promieniał: Ale z pana byczy facet, wystukał z entuzjazmem.. Dalej, jeszcze, doskonały się... Niemożliwe, to wszystko... Jeszcze, proszę... Proszę, błagam pana... Jeszcze, proszę, proszę... Niech mi pan dalej opowie, proszę, jeszcze...". Lecz mimo całej ostrości przesadą jest porównywać Koestlera z Hemingwayem. Że... Lecz to memu rozmówcy wystarczyło.

Wiedziałem, że spotkał go zawód, że oczekiwał ode mnie negacji wartości artystycznej książki Koestlera, by mógł pozostać przy urobionym przez „Combat", „Figaro" i inne pisma prawicowe zdaniu, iż obiektywizm nie sięga na prawy brzeg Renu.

Nie znam dalszego procesu myślowego mego hotelarza. Przypadek powyższy dostarczył mi żywego materiału do oświetlenia sprawy, która tak wiele uwagi skupia na sobie we Francji i gdzie indziej. Sprawą tą jest problem „zaangażowania się" intelektualisty. Sprawa nie nowa. Ma więcej lat niż współcześnie rządzące w literaturze pokolenie.

Wolność pisarza, intelektualisty, pojęta autonomicznie, niezależnie od losu społeczeństwa, w którym żyje, miała już na kilkanaście lat przed wojną swego Jana Jakuba. Julien Benda dał w „Zdradzie klerków" przepisy, jak należy postępować, by wolność tę utracić, zachować lub odzyskać. Przyszła wojna a z nią warunki przyśpieszające kształtowanie się powołania. Nie trzeba sięgać do przykładów skrajnych, by uwidocznić etapy rozwoju tej sprawy. Czy cokolwiek zaważy pogląd Jana Giono, który w „Tryumfie życia" prawo do wolności zamienia na obowiązek akceptowania niewoli (bo jakże inaczej rozumieć apoteozę małego życia bez wstrząsów, bez problemów innych niż zawód i rodzina?), jeśli na przeciwnej szali położymy jedną, najmniejszą (ot tę np., z którą się zwraca do bojowników podziemia: „wy jesteście święci") myśl Saint Exupéry'ego? Wystarczy zacytować wypowiedź pisarza, na którym nie ciąży żadna wina prócz tej, że wprowadził do sztuki powojennej terror papizmu. A Jan Paweł Sartre, w roku 1943 pisząc o (świetnej) książce Camusa („Cudzoziemiec"), umieścił się w przestrzeni bez długości i szerokości geograficznej i w czasie, którego nie mierzy się trwaniem europejskiej wojny. („Mówił nam w tę mroźną wiosnę wojenną, bez węgla, o słońcu nie jak o cudzie egzotycznym, lecz z poufałością tych, którzy aż nadto go doznali; nie grzebał własnymi rękami dawnego ustroju i daleki był od chęci wzbudzenia w nas uczucia poniżenia; książka jego ożywiała wspomnienie dzieł, które istniały niegdyś wartością własną tylko i które nie usiłowały dowieść czegokolwiek").

Powyższe sformułowanie może być wzorem ogłędności w porównaniu z innymi, które od dwóch lat urabiają część francuskiej opinii literackiej. Lecz data wyostrza jego znaczenie. Tak jakby już wówczas potrzebowali obrony przed przyszłymi oskarżycielami Valéry, piszący „Fausta", lub André Gide, pracujący nad przekładem „Hamleta". Lecz to — jak teraźniejszość ukazuje — nie było próbą usprawiedliwienia czegokolwiek. Zdanie Sartre'a podjęte, wznowione, zwielokrotnione stało się bronią zaczepną z literaturą „zaangażowaną", z tą literaturą, której problematyka włączona została do krwiobiegu ludzi, walczących o określony ideał życia. Zarzuty załamania i koteryjności, kierowane w tę jedną stronę, zmierzają do odizolowania problemu „zaangażowania", do wyolbrzymienia jego pozaartystycznych celów. Nie mam zamiaru opowiadać się za Aragonem lub tym mniej za Elzą Triolet, do których entuzjastów nie należę. Literatura „zaangażowana" jest we Francji dostatecznie zróżnicowana, by móc dokonać swobodnego wyboru pisarza, odpowiadającego każdej wrażliwości. Kogo znużył Eluard, tego czeka trudna wyobraźnia René Char. A dla Vercorsa nie łatwo w ogóle znaleźć analogię, tak jest nowy. Wbrew rozpowszechnionej (i u nas) opinii, literatura „zaangażowana" nie opiera swojej siły na solidaryzmie grupowym. Wypowiedź Piotra Hervé w „Action" o Aragonie niech będzie przykładem. (Zacytowałbym ją chętnie, aby ośmielić kogoś do analogicznego wystąpienia i u nas, gdy zajdzie tego potrzeba. Uczynię to jednak innym razem, w kontekście jakiejś dłuższej myśli, bo warto).

Niezależność pisarzy niezaangażowanych może być określona jedynie w sposób negatywny. Nie opowiadają się za tym, za tym i za tym, a przecież nie milczą. Żeby uprawiali literaturę fantastyczną o bohaterach księżycowych np.! Ale nie. Krótkie myśli monologu wewnętrznego, na który zresztą nikt nie ma monopolu, odnoszą się do konkretnych sytuacji moralnych i społecznych, bo przecież inaczej być nie może. I obserwujemy, jak pisarze zajmujący stanowisko ideologicznie „czyste", „obiektywne", pisarze niechętni wszelkiej krytyce pozaformalnej, ukazują w swojej twórczości ostre konflikty moralne i drastyczne zagadnienia społeczne, rozwiązują je i, „niezaangażowani" sami, stawiają jednak drogowskazy dla innych. Jak poznać ich fałszywość, gdy ci, co je porozstawiali, udają, wbrew swojej woli, ale jednak udają geodetów? Jak poznać, że wytyczone drogi prowadzą donikąd lub na inną planetę, gdy napisy umieszczone na drogowskazach są w zwykłym języku, a kilometraż prawdopodobny?

I tu ujawnia się prawdziwe oblicze pisarzy, uważających się za wyzwolonych: nie uznając konkretnych zasad moralności, rozwiązują problemy moralne; uważając się za wolnych od wszelkich zobowiązań, ukazują konflikty społeczne. Do złudzenia przypominają socjologów, polityków i świętych.

Przypadek Artura Koestlera ukazał funkcjonowanie ukrytych mechanizmów. Chociaż kariera, jaką ten pisarz zrobił we Francji, jest zbyt szybka, by mogła być trwała, ale jednak. Jest dalszym ciągiem jego awanturniczego życia. Węgier, piszący po niemiecku, członek partii komunistycznej, po okresie gorączkowej działalności w Palestynie jest przez długie lata korespondentem angielskiego pisma „News Chronicle" w Berlinie, Moskwie, a w czasie wojny hiszpańskiej w Madrycie. Schwytany w 1938 roku przez frankistów zostaje skazany na śmierć, od której ratuje go interwencja rządu angielskiego. Wówczas występuje z partii. W licznych wywiadach, udzielanych obecnie przez niego prasie prawicowej, mówiąc o zwrocie ideologicznym, gubi się wśród drobiazgów, z których wynika, że głównym powodem była neurastenia, poczucie samotności, niedocenienia. Karierę pisarską rozpoczął od książek „odbrązawiających" ustrój komunistyczny. Pisze je już po angielsku.

Rozpatrywany oddzielnie przypadek Koestlera nie jest niezwykły. Przeobrażenia nie są znów zjawiskiem tak rzadkim (Céline np.). Nie zamierzam upraszczać sprawy taką czy inną insynuacją. W niektórych jego książkach widać wysiłek, by stanowisko swoje wystawić pod obstrzał „za" i „przeciw". „Zero i nieskończoność" ukazuje żelazną logikę prawdy reprezentowanej przez partię, która ideologicznie, a nie fizycznie, zmusza oponentów do wyrzeczenia. Roubachof nie może nie uznać się winnym, jeśli chce uratować sens całego swego życia. I nie przed lampą o oślepiającym blasku, lecz przed poczuciem własnej winy ustępuje. Ale i w tym zawarta jest obrona własnego stanowiska. W wyrzeczeniu się Roubachofa widzi Koestler zwycięstwo człowieka. Obrona zręczna, bo operująca argumentami metafizycznymi. Poza głosem obrony rozprzestrzenia się w książce śmiertelnie zatruta cisza pesymizmu. Koestler wzbudza pesymizm, niewiarę w prawdę, która, aby zwyciężyć, domaga się ofiar, poświęcenia. Nie przeciwstawia nic, a niszczy wszystko: sens życia dla idei. Lecz rozmieszczenie „za" i „przeciw" jest tak zręczne, że w dyskusji wokół książki padły głosy, iż „Zero i nieskończoność" wzmaga w środowisku inteligenckim atrakcyjność komunizmu. Inne książki Koestlera uderzają już bezpośrednio.

Przypadek Artura Koestlera nie jest jednak oderwany. Otacza go atmosfera „obiektywizmu" i „niezaangażowania". Koestler nie przyszedł do Francji z kijem pielgrzyma w ręku. Oddano mu do dyspozycji głośniki opinii literackiej, te, do których nie ma dostępu np. Vercors. Przypomniano w związku z jego przybyciem stary pogląd na dzieło sztuki: nie może ono służyć celom doraźnym. Rozegzaltowano wartość środków formalnych, których używa. Umieszczono jego nazwisko obok nazwiska Hemingwaya i Dos Passosa, a wiadomo, co to we Francji, i nie tylko we Francji, dziś znaczy. Zaatakować Koestlera — to przyznać się do analfabetyzmu literackiego. I w cieniu kanonów sztuki odbywała się na łamach „Le Littéraire" i „Combat" zwykła propaganda, docierająca w okresie przedwyborczym tam, gdzie tylko snobizm ma dostęp. Nawet właściciel hotelu, w którym mieszkam, uległ jej również. I ten, i tamten, i jeszcze inny.

Lecz jak wszystkie nowinki we Francji i ta również się przeżywa. Trochę in odore sanctitatis, trochę nie. Zbyt wielu jest chętnych na miejsca w pierwszym rzędzie. Każdy się doń dobija na swój sposób. Ten, że przyjedzie, tamten, że wyjedzie, a inni, że urządzą zjazd.

Wyjazdy są jednak zawsze ryzykowne. Pewnie, wzbudzają zazdrość bliźnich, a więc uczucie, które nas we własnych oczach podwyższa. Lecz nieobecność sprawia, że martwieje delikatna tkanka związków z przyjaciółmi, ze społecznością i ani się spostrzec, jak pozostajemy sami. Chyba, że jak Michaux zabieramy ze sobą wszystko, całą nostalgię, całą wyobraźnię, a wtedy w każdym, w najbardziej nawet nieprzychylnym krajobrazie możemy za przykładem autora „Moich włości" rozłupać sobie na pocieszenie czaszkę i wyjąć z niej ulubioną kawalerię. Albo jak Jan Paweł Sartre — zostawić przy opuszczonym ołtarzu gromadę wiernych, którzy nie przestaną zawodzić litanii. Ten drugi sposób jest gorszy. Zawsze może się znaleźć jakiś gwałtownik, który się będzie domagał zrealizowania natychmiast królestwa niebieskiego na ziemi, a niewysłuchany zacznie głosić herezję. Gdy Sartre tego lata wyjechał na miesiąc do Italii, głucha wieść krążyła po Paryżu, że się tam „zaangażował" i że publicznie wyraził swoją dezaprobatę na rewizję granicy francusko-włoskiej. Ryzyko nie zniechęca jednak pisarzy do podróży. Jedni, jak Tristan Tzara, wybiorą się po skąpione im tutaj oklaski na Bałkany. Inni, tych jest wielu, po łatwe życie do Szwajcarii. Są i tacy, którzy na własne oczy chcą się przekonać o przeobrażeniach postępowych w świecie. Tak np. Julien Benda wybiera się do Polski.

Przyjazdy są pewniejsze. Ludzie wzruszają się łatwo. Zapominają o przewinach marnotrawnego, przyjmują go czym chata bogata, tłustym tytułem czteroszpaltowym w gazecie popołudniowej, kwiatami na dworcu i fotelem akademickim. Jules Romains nie może się uskarżać na rodaków. Obdarowali go kwiatami i posadzili pod kopułą. Nikt mu nie wypomniał pétainizmu uprawianego przez całą wojnę w Stanach Zjednoczonych, tak jakby wszyscy przyjęli w stosunku do niego posta-

W JEDNYM Z NAJBLIŻSZYCH NUMERÓW UKAŻE SIĘ
ZESTAWIENIE TREŚCI „ODRODZENIA" 1944–1946

WKRÓTCE NUMER SPECJALNY „ODRODZENIA" POŚWIĘCONY
HUMORYSTYCE

wę sformułowaną w tytule jego roman-fleuve.

A powracających jest coraz więcej. Jedni — z Ameryki jak André Maurois, by poprawić wegetującą we Francji literaturę drugiej kategorii. Inni, nie wiadomo po co — z niesławy, jak Pierre Benoit, któremu Narodowy Komitet Pisarzy darował winę kolaboracji. Sprawa rehabilitacji niektórych towarzyszy Benoit jest również w toku. Wydawcy Montherlanta i Giono wywierają nacisk na opinię, aby przez rzucenie ich książek na rynek uzdrowić swoją sytuację finansową. Zwolennicy „niezaangażowania“ nie utrudniają im wysiłków.

Lecz wracają również pisarze, którzy pragną tylko móc oddychać powietrzem wolnej Francji. Powrotowi Jules Supervielle'a nie towarzyszyły wielkie gesty oratorskie. Tylko najbliżsi przyjaciele starają się dlań o zwrot mieszkania utraconego w czasie wojny, aby nie musiał w Blois odrywać się od nostalgii metafizycznej po to, by tęsknić za kawałkiem Paryża. Sprawa mieszkania wielkiego poety nie nabrała jednak (niestety) tutaj nawet części tego rozgłosu, jaki otaczał u nas pewien dom w Częstochowie przy ulicy Wolność 22.

Powrót André Bretona niepodobny był do żadnego innego powrotu. Gdy po wydaniu przez Maurice'a Nadeau „Historii nadrealizmu“, która jest jakby pośpiesznym opuszczeniem kurtyny w trakcie odbywającego się widowiska, André Breton zjawił się z nowiną: „Rewolucja nadrealistyczna trwa“, przyjęto go jak zjawę z innego świata. Bo tutaj nie tylko na tronie papieskim zasiadł kto inny, ale i wyznanie panujące się zmieniło. Dawni towarzysze rozeszli się w swoje strony i zaparli się mistrza. Młodzież literacka znużona czekaniem pozakładała własne sekty. (Letryści (od słowa lettre — litera) opowiadają się za całkowitym, aż do litery, zniszczeniem słowa. Są jeszcze bardziej niż niegdyś dadaiści zarozumiali, twierdząc: „niszcząc słowo znajdujemy tworzywo nowe, równie poetyckie jak dawne“. Doloryści za swoją uznali łacińską formułę: „ad veritatem per dolorem“. Cierpią publicznie. Psychiści ograniczają swój program do nienawiści wszystkich izmów istniejących współcześnie. Są równie antyegzystencjalistyczni jak i antynadrealistyczni).

Tylko ksiądz Gengenbach przerwał pokutę, którą odbywał za wyrzeczenie się kiedyś chrystianizmu dla idei Bretona, i złożył swój entuzjazm pod najnowszym manifestem nadrealistycznym, ukazującym perspektywy metafizyczne miłości do kobiety.

Powrót Bretona należy jednak do zjawisk nie posiadających dnia następnego, gdyż do odnowienia szkoły nadrealistycznej nie wystarczą nowe argumenty na poparcie starych prawd. Dowody, które Breton wywiódł z prymitywnej sztuki północno-amerykańskich Indian, świadczą o wiecznej tęsknocie człowieka wszystkich czasów i wszystkich kultur do świata nadrealnego. Nadrealizm tęsknotę tę również wyrażał. Otworzył okna na nowe pejzaże i zwiększył wysokość, którą człowiek zmierzając do samowiedzy osiągnął. Przez okna te wyglądają dziś wszyscy i nikt ze zdobytej raz wysokości nie rezygnuje. Lecz sprawa przetrwania niektórych koncepcji nadrealistycznych, sprawa wpływów nadrealizmu we współczesnej literaturze należy do myśli długich, do takich, które w tym liście już się nie zmieszczą. I niewiele ma ona wspólnego z powrotem André Bretona. Ow jest jednak zbyt zaangażowany (gdyż przypadek Koestlera wykazał, że „niezaangażowani“ także zmierzają do celów doraźnych), by mógł zdawać sobie z tego sprawę.

Nie każda myśl jest jednak celowa. Nie każda dokądś prowadzi. Są również myśli stojące, o niewiadomej głębi, jak sadzawki leśne. Dziś jesteśmy już na tyle dojrzali, by nie ulegać sugestii pięknych słów. Wiemy, że trzeba je rozgryźć, choćby były piękne, choćbyśmy wiedzieli, że nie odzyskają urody po próbie, jakiej je poddamy. Bo w każdym słowie może być ukryty albo nakaz działania, albo zachęta do snu. André Malraux np., w odczycie wygłoszonym podczas miesiąca UNESCO, mówił o humanizmie, o wartościach ludzkich, o konieczności kultywowania tych wartości. Mówił o kulturze europejskiej. Lecz wzywając do jej obrony przeciwko zagrażającym rzekomo nowym kulturom, tworzącym się w Stanach Zjednoczonych i ZSRR, słowo Europa wymawiał w sposób dla nas nie nowy. O jedności i solidarności europejskiej słyszeliśmy wielokrotnie my, mieszkańcy krajów okupowanych, w czasie trwania ostatniej wojny. I trudno się nam zaangażować do walki o taką



JULES ROMAINS

Europę. A po cóż się angażować fikcyjnie?

Człowiek i kultura coraz częściej zaczynają się pojawiać bez specyfikacji. W wielkim gmachu UNESCO cały aparat utrzymywany z budżetu Narodów Sprzymierzonych pracuje nad upowszechnieniem tych terminów. Wokół Juliena Huxleya zgrupowali się „humaniści ewolucyjni“ z całego świata. Oczywiście nie można o nich sądzić na podstawie artykułów sprawozdawczych z Konferencji Generalnej. Po skończonej konferencji mało kto w Paryżu pamięta o istnieniu UNESCO. Czasem, ten i ów przechodząc placem Gwiazdy obok alei Klebera powie o uposażeniu wyższych urzędników, które wynosi rocznie okrągłe 10 000 dolarów. Czasem i tego nie powie i zamyśli się nad wyraźną celowością zaangażowania się kilkuset mężczyzn i kobiet. Może istotnie uda się im upowszechnić ideę człowieka anonimowego. A jeśli się nie uda, to przynajmniej zaangażowanie nie jest fikcyjne.

A przecież zapowiadało się tak świetnie! Gdy w listopadzie zjechali przedstawiciele kultury narodów sprzymierzonych do Paryża, zdawało się, że na świecie istnieje tylko rzeczywistość i ideały UNESCO. Nawet te drugie uchodziły w oczach poniektórych za bardziej realne i aż Leon Blum, przewodniczący zjazdu, musiał wobec nich usprawiedliwiać na konferencji prasowej fakt, że dzienniki paryskie tylko jedną czwartą swojej objętości poświęcają Konferencji Generalnej. Niech pan przejrzy prasę angielską i amerykańską, mówili tamci. — Tak, ale rozumieją panowie, rozkładał ręce,



JEAN GIRAUDOUX

nas obchodzą także nasze sprawy wewnętrzne, a te są wyjątkowo pasjonujące: wybory, zmiana gabinetu...

Jakże dziś nie żałować tego entuzjazmu! Tej wiary i pewności, że coś jednak nastąpi. Nasza delegacja przychodziła na obrady z zapałem, zostawiając sceptycyzm w hotelu. Tylko Leon Kruczkowski, nie mogąc po ataku lumbago przez dwa dni opuszczać pokoju, zżył się z nim i gdy potem zjawiał się w gmachu przy alei Klebera widziałem, że jedna kieszeń w marynarce pęczniała mu od zwątpienia. Może nie tylko on zresztą, Żannę Kormanową i Wandę Telakowską podejrzewam także, że miały trochę tego tworzywa rzeczywistości przy sobie. Tylko, pozbawione kieszeni, nosiły swój sceptycyzm między stronicami książek lub w rysach twarzy.

Lecz to wszystko minęło tak szybko, że się nawet nie zdążyłem wpisać do sztambucha Wandy Telakowskiej. Gdy uczynię to kiedyś, czy cokolwiek jej przypomną jeszcze te słowa: „Pani miała na sobie sukienkę niebieską, a ja nosiłem w klapie odznakę UNESCO...?“

Obraz zjawisk przemijających jest trudny do wykończenia. Zjawiska są bowiem ruchome jak piasek na pustyni. Tylko pustynia jest obdarzona ludzką psychiką: potrafi się zdziwić i potrafi się znudzić. Pojawiają się coraz nowe książki, pisma i ludzie. Mijają po tygodniu lub miesiącu, by ustąpić miejsca nowym. Którym z nich zamknąć ten ciąg moich złośliwości?

Piszę ten list Parkerem, więc niech omen nomen się dopełni. Pan Parker jest dziś czarnym charakterem i kolektorem brudnych słów dla jednych, a obrońcą moralności dla drugich. Ci pierwsi — to cała, a jeśli nie cała, to z małymi wyjątkami cała, francuska opinia literacka. Ci drudzy — to bezimienni, którzy mają złu za złe, że istnieje. Henryk Miller, wybitny pisarz amerykański, ostatnia rewelącja literackiego Paryża, w sposób niekrępowany żadnym hamulcem w myśli i słowie wyzwala się z kompleksów, gniotących jego i świat, w którym żyje. (Jedno zdanie ze „Zwrotnika Raka“ lepiej go przedstawi niż moja interpretacja: „Od stu lat, a może jeszcze dawniej, świat, nasz świat umiera. I nie znalazł się żaden człowiek na przestrzeni tych ostatnich stu a może więcej lat, dość namiętnie szalony, by podłożyć bombę pod d... wszechświata i wysadzić go w powietrze. Świat trwa w zgniliźnie i umiera po kawałku. Trzeba go dobić z litości, by się w proch obrócił. Każdy z nas jest zarażony, a przecież w nas mieszczą się wszystkie kontynenty i gnieżdżą się wszystkie ptaki. Przedstawimy to wszystko — ewolucję świata, który skonał, lecz nie został pogrzebany. Pływamy na powierzchni czasu, a wszystko już jest zatopione, tonie, lub utonie. Ogromna to będzie książka!“). Czyż cel ten można osiągnąć zwykłymi środkami? Miller w wielu miejscach przekroczył granice tak zwanej i nie tak zwanej przyzwoitości tak, że książki jego zostały skonfiskowane w Ameryce i Anglii. Obecnie sędzia Parker przygotowuje oskarżenie z artykułu 330 (z tego samego artykułu zostało wniesione niegdyś oskarżenie przeciwko Baudelaire'owi, Flaubertowi...). Opinia francuska wrze. („Rozumiem, że nie wszyscy mają ochotę na taką lekturę — pisze w dodatku literackim prawicowego „Figaro“ André Rousseaux. — Lecz jest sprawą naszej wielkości, byśmy umożliwili lekturę Millera i dyskusję z nim“).

Dotychczasowa atmosfera skandalu powiększyła jedynie zainteresowanie publiczności jak i samo zagadnienie milleryzmu. Już nie pisarze tylko, lecz czytelnicy poczuli się zaangażowani, niewspółmiernie zresztą do wagi samej sprawy. I nawet prestige Francji postawiony został przed koniecznością dokonania wyboru. Czy proces Millera się odbędzie? Czy autor „Zwrotnika Raka“, „Zwrotnika Koziorożca“ i „Czarnej wiosny“ skazany zostanie jak kryminalista za to, że usiłuje być „namiętnie szalony?“ Oto pytania, które padają w obu obozach literatury. Zawiązał się nawet komitet pisarzy w obronie Henryka Millera. Nie było może jeszcze zrzeszenia o tak szerokim wachlarzu politycznym. Bo nie tylko o Millera chodzi w tym wypadku.

Pan Parker jest także zaangażowany...

Zbigniew Bieńkowski

JULIAN PRZYBOŚ

ZAPISKI

DZIWNE

Nie użyłem ani razu w swoich poezjach słowa „dziwny", którego nadużywają poeci, gdy chcą, by im na słowo uwierzyć, że przeżyli coś „dziwnego" (czytaj: poetycznego). A w poezji nie wierzy się „na słowo", w poezji wierzy się na — poezję. Na takie skierowanie słów, żeby „dziwność" objawiła się bez obsłonki nazwania, które ją tłumi. Przymiotnik „dziwny" znaczy w poezji mniej niż „zwyczajny" czy „nijaki".

RZECZ A SŁOWO

Gdy pewien przyjaciel Mallarmégo pytał o radę, jak zmieścić w sonecie myśl, autor „Popołudnia Fauna" odrzekł: „Ależ wiersze robi się nie z myśli, lecz ze słów". W tej wypowiedzi streścił lapidarnie swoją teorię poezji, chyba najbardziej literacką w historii słowa pisanego. Poezja była dla niego sztuką pisania dla samego piękna pisania; ze słowa wykluczył rzecz.

Pisarza określa się jako artystę, który posługuje się słowem, podobnie jak malarz to artysta tworzący kolorem. Słowo jest wprawdzie materiałem wszechstronniejszym, lecz bardziej niezależnym od twórcy, mniej powolnym dowolnemu kształtowaniu niż kolor i dźwięk. Słowo, tworzywo wszechstronniej wyrazicielskie, jest jednak — w przeciwieństwie do materiału twórczego w muzyce czy malarstwie — obciążone bagażem praktyczności.

Zasada „Rem tene, verba sequentur" jest równie słuszna dla prozaika nowoczesnego, jak słuszna była dla retorów łacińskich. Celem czystej prozy jest ukazanie wyglądu rzeczy tak, żeby słowo było niewidoczne, żeby sobą nie przysłaniało rzeczy. Sama rzecz, sama rzeczywistość winna się dziać w wyobraźni czytelnika tak bezpośrednio, jakby nie potrzebowała pośrednictwa słów.

Lecz ta zasada nie zawsze słuszna jest w poezji. Byli wielcy nawet poeci, którzy pisali nie tyle posługując się słowem, ile służąc słowu. A nie było wielkiego poety, który by słowom nie dał nowego blasku. Firdusi, mówiąc we wstępie do swojej epopei o najwyższej, ostatecznej wartości na świecie, wymienia: układ słów pięknych. I sam układ tych słów, jego piękno, żyje po wiekach i dziś jeszcze zachwyca, gdy rzecz, którą niosły te słowa, zsunęła się w przepaść czasu. (Kogo zachwyca? Wyjątkowo czułych na zamierzchłe piękno. Jest ich za mało, by w to piękno wierzyć bez wątpienia).

To prawda. Ale bez tego zapomnianego dziś ciężaru rzeczy — słowa, w chwili gdy je składał poeta, nie znaczyły nic i w ogóle nie utworzyłyby „pięknego składu". Na początku była rzecz i rzecz stworzyła słowo.

WIERSZE PROZAICZNIEJĄ

Każdy wielki poeta upoetycznia słowa przez trudne do określenia zanurzenie w zmiennym źródle poetyczności. To źródło bije we wzruszeniu tak pewnym a zwiewnym jak woń. Czas rozwiewa ten zapach, oddalenie ściera ze słów ten puch. Co zostaje? Zostaje nagie słowo-pojęcie. Tak z czasem wiersze prozaiczznieją.

Żeby odczuć urok zwiędłych w czasie słów poetyckich, trzeba więc szczególnej zdolności, którą nazwałbym przesuwalnością słuchu poetyckiego. Nie wystarczy tzw. zmysł historyczny, chyba że z metaforycznego stanie się dosłownie zmysłem słuchu wrażliwego o wieki wstecz. Kto naprawdę słyszy poezję w pieśniach i odach Horacego? Poznaje się sam szkielet układu, banalną treść; upoetycznione słowa — zwietrzały i trzeba niebywałego znawstwa owoczesnej liryki łacińskiej i genialnego słuchu, aby z tła literatury tamtych czasów wybłysła i zadźwięczała w słowach — olśniewająco nowatorska poezja Horacego.

TREŚĆ A TEMAT

Z chwilą gdy starym stylem zaczyna się odziewać tematy dotychczas nie poruszane, oczekiwać można, że: albo nowy temat nie rozwinie się i zmilknie, albo stara forma odpadnie jak łupina i powstanie nowa treść poetycka (która jest także formą). Ci, co wzywają do napełniania starych beczek młodym winem, nie czynią źle — ale tylko wtedy, jeśli te beczki rychło pękną. W świecie sztuki łatwiej o wino niż o puchar.

JEDEN TO WIĘCEJ NIŻ TRZY

Sztuka pisania jest sztuką skreślania.

Powtórzenie nie uwydatnia rzeczy, lecz ją pomniejsza i unieważnia. Jeśli poeta nie znajduje innego sposobu wyrażenia swojego wzruszenia niż reduplikacja lub refren („To moc, to potęga". „Twoje cudne, cudne, cudne oczy") — osłabia u słuchacza wiarę w swoje wzruszenie. (Tylko niepewni swojej prawdy powtarzają ją upornie). Trzy takie same lub podobne, czy też — nawet stopniujące — określenia są słabsze od dwóch, dwa od jednego, jeden od?... Najwymowniejszym będzie epitet wymownie zamilczany.

JESZCZE O MIESZKANIU

Człowiek stworzony jest do mieszkania z powietrza i światła. Mieszkanie — jako przestrzeń zamknięta — to przesąd.

Architektura, według idei Strzemińskiego, winna komponować przestrzeń — czyby więc nie winna **zniknąć!** Zniknąć jako widoczny zespół brył i płaszczyzn, roztopić się w świetle i powietrzu, otworzyć się wszystkim stronom świata.

Przejrzyste materiały budowlane pozwalają już mieszkać w świetle. Znika mur, ściana, mieszka się w jednym wielkim oknie. Myślę, że to okno mieszkalne wniknie jakby organicznie w powietrze tak, że nie trzeba go będzie dopiero na przewiew otwierać. Będzie zawsze otwarte na powietrze i zawsze zamknięte na chłód i słotę. (O firance i kotarze milczę).

MIEJSCE

Bije późna godzina. Nagle — tak bezpośrednio jak dotykanie stołu — naszło mnie widzenie jednego miejsca tam, w Gwoźnicy: Zakręt potoku śród olch wysokich, chropawych i mokrych w odwilży. Jest mrok, śnieg, dyszenie określonej bulgotem strumienia — ciszy. Nad tym miejscem ogromna kopuła niezgłębienia: wolny świat - noc. Iluż takich miejsc — nie przebyłem, nie doświadczyłem w zupełności — i czy to dlatego tamten strumień i tamte olchy przyszły teraz do mnie? Jest pewna miara czasu dana na doznanie każdego miejsca; jeśli się ją skróci lub jeśli się ją przekroczy, miejsce — jak to rzec? — już się **nie dzieje**, to jest już nas nie **odnawia.**

Grecy przypisywali miejscom bogów. Każdy gaj, każdy strumień był bogiem. Tak dawali Grecy boskość — czemu? Przeżyciu jedynemu i swoistemu każdego nowoodkrytego miejsca? Określony urywek świata — określony chwilą skupienia w ujrzanym pejzażu — odmienia mnie, jakby zmywał całą moją przeszłość, staję jak pierworodny Adam na ziemi. W nim, więcej niż jestem — staję się, odnawiam. Chyba bóg, wiecznie młody, darzy takim darem?

Skąd to złudzenie wolności, pierworodności? Nie utrzymywany w napięciu relacjami społecznymi — rozluźniam się, czuję, że mogę być wszystkim. Doznanie cenne, bo wygładza powierzchnię odczuwania i czyni podatnym pod siew oddziaływań międzyludzkich.

PIERWSZA RADA

Młodemu poecie, proszącemu o radę:

— Nie opowiadaj, nie opisuj, nie opiewaj; nie rób refleksyj, nie rezonuj; nie spowiadaj się, nie nastrajaj; nie krzycz, nie głoś, nie dmij w puzon retoryki. Wyrażaj — to jest: twórz język! Wszystko inne będzie ci przydane.

OSTATNIA RADA

— Miej serce — w sercach bliźnich.

Julian Przyboś

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia"

New Jork, w lutym 1947 r.

PREZYDENT W NOWEJ FAZIE

Ostatnie tygodnie przyniosły pewien wzrost popularności osoby prezydenta Trumana. Zmuszony do współpracy z Kongresem, posiadającym większość republikańską, poczyna on sobie stanowczo a taktownie, budząc respekt nawet u przeciwników. Republikanie, bardzo pewni siebie po zwycięstwie, chętnie zapewne daliby upust swoim namiętnościom i, korzystając z przewagi, pognębiliby doszczętnie swoich wrogów. Natykają się jednak w tych zamiarach zarówno na osobę Trumana, który zaleca umiarkowanie, jak i na opinię publiczną, a na tej im szczególnie zależy: pamiętają, że jest przed nimi walka o wybór prezydenta w 1948 roku.

Przedstawiając budżet roczny rządu w wysokości 37 300 000 000 dolarów, wprowadzający znaczne ograniczenia w wydatkach (z wyjątkiem wydatków na wojsko i na zaopatrzenie weteranów), Truman opowiedział się za utrzymaniem podatków w dotychczasowej wysokości. Jak wiadomo, jest on zwolennikiem obniżenia podatków dla tych płatników, którzy mają niskie dochody. W ten sposób zwiększyłaby się bowiem siła nabywcza szerokich rzesz, co stanowiłoby ważny czynnik utrzymania równowagi pomiędzy podażą i popytem. Wśród republikanów istnieje w ogóle tendencja do obniżenia podatków. Warto wspomnieć, że kilka dni temu republikanin Knutson z Minnesoty wystąpił z projektem obniżenia podatków o 20%; cel projektu jest zupełnie jasny: pozostawienie w kieszeni największych potentatów finansowych znacznej sumy pieniędzy, bo 20% dla takich rekinów, to setki tysięcy dolarów. Truman, zdając sobie sprawę z faktu, że republikański Kongres nie zdobędzie się na obniżenie podatków wyłącznie dla uboższych obywateli, stawia jako zasadę utrzymanie podatków na dotychczasowym poziomie.

Truman zaapelował do przemysłu o niepodbijanie, a raczej obniżenie cen, a do robotników o umiar w żądaniach podwyżki zarobków. Obecny stan gospodarki amerykańskiej jest znakomity. Produkcja narodowa, wyrażająca się w r. 1946 sumą 205 miliardów dolarów, jest o 50% wyższa od przedwojennych rekordów, a stan zatrudnienia jest maksymalny. **Rzecz polega na tym, aby ten stan utrzymać.** W ciągu 1946 roku, wskutek wzrostu cen, siła nabywcza mas pracowniczych znacznie zmalała. Drogą najbardziej logiczną, zalecaną przez związki robotnicze, byłaby podwyżka zarobków i kontrola cen wyrobów przemysłowych. Truman nie idzie tą drogą. Zaleca on: 1) obniżenie cen; 2) podniesienie siły nabywczej mas pracowniczych przez poprawę ubezpieczeń społecznych, służbę zdrowia, tanie mieszkania, walkę z dyskryminacją rasową itd.; 3) w sprawie ustawodawstwa antystrajkowego, które przygotowują republikanie, oświadcza, że zgodzi się tylko na wydanie ustawy przeciwko najbardziej drastycznym kategoriom strajków (tzw. „jurisdictional strikes"). Ostrzega przy tym: „Jeżeli ceny i płace nie znajdą się w odpowiedniej proporcji, i to dość szybko, grozi niebezpieczeństwo, że odbiorca przestanie kupować, zamówienia dla przemysłu zmaleją, produkcja spadnie i powstanie bezrobocie".

Jak widać, Truman wybiera drogę kompromisu. Waga jego oświadczenia przed Kongresem polega jednak przede wszystkim na tym, że podstawowe zagadnienie gospodarki Stanów Zjednoczonych zostało oficjalnie przedstawione publiczności i że dzięki temu lepiej będą widoczne manewry republikanów, zmierzające do utrzymania wysokich zarobków przemysłu i obniżenia zarobków pracowniczych — co oczywiście grozi katastrofą.

Na konto Trumana trzeba zapisać również to, że zapobiegł podwyższeniu cen za komorne. OPA, czyli urząd kontroli, stracił wszelkie swoje uprawnienia i w praktyce jest instytucją martwą. Jedyną pozostałością kontroli cen jest kontrola komornego. Od wysokości komornego w największej mierze zależy utrzymanie siły nabywczej mas pracowniczych. Właściciele domów chwytają się wszelkich sztuczek, aby obejść ograniczenia i prawie niemożliwe jest znaleźć teraz mieszkanie, objęte kontrolą (kwitnie instytucja odstępnego, głównie pod postacią przymusu kupowania mebli czyli starych gratów). Jednakże miliony obywateli, którzy mają już mieszkania, mogą wiązać koniec z końcem tylko dzięki względnie niskiemu komornemu. Przewidując atak republikanów na kontrolę, rząd postanowił dopuścić podwyżkę komornego o 10%. W ostatniej chwili Truman zabronił podwyżki, zapowiadając, że na ten temat wypowie się Kongres.

DYSKUSJE O PRAWACH PRACOWNIKÓW

W przygotowaniach do ustaw, mających ograniczyć prawa robotnicze, można zauważyć trzy różne tendencje. Najdalej chciałaby pójść Izba Reprezentantów. Senat jest bardziej umiarkowany. Biały Dom chciałby ustawodawstwo antyrobotnicze sprowadzić do minimum, niezbędnego jako ofiara złożona na republikańskim ołtarzu. Jednym z najważniejszych punktów dyskusji jest sprawa tzw. „closed shop" czyli „zamkniętego zakładu". Istniał mianowicie dotychczas taki stan, że wszyscy robotnicy pracujący w jakiejś fabryce należeli do jednego związku i zarząd fabryki nie miał prawa angażować robotników spoza związku. Przemysł bardzo niechętnie patrzy na te uprawnienia wywalczone przez związki w wielu fabrykach i zdradza ochotę użycia broni ustawowej przeciwko „closed shop".

Projekt ustawy na temat pracy opracowuje republikański senator Taft. Jak się przypuszcza, będzie to projekt, który nie zyska szczególnego uznania ze strony sfer przemysłowych, jako zbyt łagodny, ani ze strony świata pracy, jako zbyt surowy. Pewna ostrożność posunięć wydaje się w tej chwili charakterystyczna dla republikanów.

American Federation of Labor, w osobie swego prezydenta Williama Greena, ostrzega Kongres przed ustawodawstwem antyrobotniczym. AFL straszy przejściem robotników do socjalizmu, jeżeli takie ustawy się ukażą. Oznaczałoby to między innymi wzrost wpływów CIO. Trzeba zauważyć, że rozgrywka pomiędzy AFL i CIO nie ogranicza się do terenu Stanów. AFL zaleca amerykańskim władzom okupacyjnym w Niemczech silniejsze poparcie konserwatywnych elementów w niemieckich związkach robotniczych, aby zapobiec wejściu niemieckich związków do Światowej Federacji Związków Zawodowych, do której należą związki rosyjskie i CIO. Poza tym delegacja AFL udała się do Argentyny, gdzie jest podejmowana przez Pérona. Celem tej misji jest utworzenie Inter-American Federation of Labor, jako przeciwwagi lewicowej Latin-American Federation of Labor, zbliżonej do CIO.

OSOBA MARSHALLA

Przez nominację Marshalla na sekretarza stanu prezydent Truman osiągnął wzmocnienie swego stanowiska. Po pierwsze, jest to osobistość niezmiernie w Stanach popularna i ciesząca się sympatią wszystkich obozów. Po drugie, Marshall, którego misja w Chinach miała być z góry planowana jako wstęp do powierzenia mu wyższego stanowiska (podkreśla się, że nie udała się nie z jego winy) odnosi się do Trumana ze szczególnym szacunkiem, co nie zawsze dało się powiedzieć o Byrnesie, który (jak mówi plotka) nieraz nie raczył Trumana informować o swoich posunięciach. Istnieje też pogłoska, że dymisja Byrnesa w dziwny sposób zbiega się z momentem ochłodzenia Londynu w stosunku do Stanów Zjednoczonych i próbami bliższego porozumienia z Moskwą.

Pierwsze posunięcia Marshalla zdają się zapowiadać pewną rozbieżność między jego zamiarami a zamiarami republikanów. Decyzji wycofania wojsk amerykańskich z Chin nie przyjęli republikanie z entuzjazmem i można przewidywać tarcia pomiędzy Marshallem i Vandenbergiem, tak przynajmniej przypuszcza prasa antyrepublikańska.

PERSPEKTYWY

Miesięcznik „Fortune" rozesłał ankietę do 30 000 kierowników wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i transportowych na temat perspektyw byznesu na najbliższą przyszłość. Odpowiedzi na tę ankietę wskazują, co sądzi o obecnej sytuacji wielki pieniądz.

Na zapytanie, czy w 1947 r. należy się spodziewać więcej strajków niż w 1946 r.: 10% odpowiedziało, że więcej; 32%, że tyle samo i 58%, że mniej.

Na zapytanie, czy koszty pracy zwiększą się czy zmniejszą: 61% odpowiedziało, że się zwiększą; 33%, że nie zajdą większe zmiany, 6% wypowiedziało się, że nastąpi zniżka, lub nie wypowiedziało się wcale.

Na zapytanie, czy dochody się zwiększą: 36% procent odpowiedziało, że się zwiększą; 23%, że pozostaną bez zmian; 34%, że nastąpi lekka zniżka; 7% przewidywało gwałtowną zniżkę, lub nie podało żadnych przewidywań.

Na zapytanie, czy w ciągu najbliższych dziesięciu lat trzeba oczekiwać depresji gospodarczej i bezrobocia: 58% odpowiedziało, że tak; 28%, że nie, 14% nie odpowiedziało.

MECHANIZM RAJU

Aby dać klucz do wycinka z jednej z gazet amerykańskich, który mam zamiar zacytować, muszę poinformować czytelnika, że człowiek, który zarabia 100 dolarów tygodniowo, nie jest w Stanach Zjednoczonych równy człowiekowi, który zarabia tygodniowo dolarów tysiąc, a człowiek, który ma 2 samochody, jest niewątpliwie lepszym okazem homo sapiens niż człowiek, który ma 1 samochód, albo go nie ma. Jest rzeczą wskazaną, aby stosunki towarzyskie utrzymywać tylko z ludźmi równymi pod względem finansowych możliwości, nie jest też rzeczą nierozsądną żenić się i wychodzić za mąż tylko w swojej sferze, ograniczonej cyframi.

Dalej trzeba koniecznie wiedzieć, kto to jest Frank Sinatra. Frank Sinatra jest młodym śpiewakiem, specjalistą od sentymentalnych piosenek w rodzaju utworów naszego przedwojennego Własta. Olbrzymia ilość amerykańskich kobiet, od podlotków do matron, zdradza na temat Sinatry rodzaj lekkiego obłędu i gotowa jest stratować się na śmierć, żeby zobaczyć oblicze bóstwa. Sinatra jest potęgą, nazwisko jego znaczy więcej niż nazwiska największych polityków, pisarzy czy kompozytorów. Jaki miły, jak szlachetny jest Sinatra! Oto wycinek z kroniki towarzyskiej (pisanej przez kobietę):

„Frank Sinatra wydał przyjęcie sylwestrowe, największe, jakie zdarzyło mi się dotychczas oglądać, a przecie widziałam już ich co najmniej kilka. Nie było wśród gości żadnych przedziałów kastowych. Ludzie, którzy zarabiają 10 000 dolarów tygodniowo, ocierali się o ludzi, którzy zarabiają tylko 75. Słyszałam jak Walter Annenberg z Filadelfii i jego śliczna żona rozmawiali ze studolarowym człowiekiem."

Korespondent „Odrodzenia" ma po przeczytaniu tego wycinka tylko jedno marzenie: dostać w ręce babę, która to napisała (nazywa się Hedda Hopper i jej artykuły ukazują się równocześnie w wielu dziennikach na obszarze Stanów, jako tzw. syndicated column) — dostać tę babę i sprać ją po tyłku skórzanym batem z brylantową (koniecznie!) rękojeścią.

KWASY WŚRÓD LIBERAŁÓW

Jak wiadomo, postępowa opinia w Stanach jest obecnie podzielona wskutek powstania dwóch organizacji, z których każda rości pretensje, aby stać się zaczątkiem wielkiej, trzeciej partii w USA.

Pomiędzy PCA (Progressive Citizens of America) i ADA (Americans for Democratic Action), przekształcone UDA czyli (Union for Democratic Action), trwają nieporozumienia, wzajemne obrzucanie się oskarżeniami itp. Punktem spornym jest sprawa stosunku do komunistów, których ADA zacięcie zwalcza, a PCA zaprasza do współpracy. W prasie demokratycznej podkreśla się z tej okazji, że wielkim niebezpieczeństwem jest szczególna mentalność intelektualistów, grupujących się w tych organizacjach. Mentalność ta, nie uznająca żadnych surowych praw walki, skłonna jest wszystko poświęcić dla nieskazitelnej czystości postaw moralnych. „New Republic" pisze, że jak w Niemczech po pierwszej wojnie powstały masy lumpenproletariatu, tak obecnie w Ameryce powstaje typ rozczarowanych Lumpenintellektuellen, tracących czas na zasadnicze spory, gdy napór sił prawicowych zmusza do jedności i szybkiej akcji.

PRASA O POLSCE

Korespondent „Odrodzenia" uważa za swój obowiązek podzielić się z czytelnikiem swoimi wrażeniami z lektury ogromnej ilości artykułów, jakie dziennikarze amerykańscy napisali z okazji wyborów styczniowych.

Wydrukowano sporo obserwacji zdumiewająco przenikliwych, więcej głupstw i jeszcze więcej głupstw zupełnych. Za te głupstwa dziennikarze amerykańscy bawiący w tym czasie w Polsce ponoszą tylko częściową odpowiedzialność. Nieznaczny tylko procent dziennikarzy pisał korespondencje z wyraźnie złośliwą intencją. Większość starała się przedstawić zagadnienie uczciwie, lepiej albo gorzej dając sobie radę z jego trudnościami. Ci, którzy szli drogą najmniejszego oporu, pisali po prostu to, co im opowiedziała amerykańska ambasada. Ci, którzy mieli wyższe ambicje, starali się przeprowadzić jak największą ilość rozmów z przedstawicielami wszystkich ugrupowań politycznych. Korespondencje, jak to zwykle się dzieje, zaopatrywano w tutejszych redakcjach w odpowiednie tytuły: tutaj dopiero zaczynało się prawdziwe hasanie redaktorów, bez najmniejszej troski o obiektywizm.

Na wyróżnienie zasługują rzeczowe i pełne prawdziwej troski o Polskę korespondencje w „P. M." wybitnego pisarza politycznego Ralpha Ingersolla (autora szeroko znanej w Stanach książki „Top secret", odsłaniającej kulisy sztabów alianckich w czasie wojny) i korespondencje Stephena Lairda (korespondenta CBS w Berlinie). A nawet Dorothy Thompson była wyraźnie „tknięta" elektryczną — jak powiada — atmosferą Warszawy i zapał odbudowy dał jej wiele do myślenia.

Wylewanie krokodylich łez nad losem Polski musi obudzić w Polaku obrzydzenie. Jest coś wysoce cynicznego w tym stosunku sytych i pyszałkowatych redaktorów, przekonanych, że cywilizacja zaczyna się i kończy na Ameryce, do narodu, który każdego dnia stoi przed zagadnieniem życia albo śmierci. Polska jest dla nich niczym więcej niż wygodnym tematem do artykułu, a celem ostatecznym tego artykułu są wewnętrzne rozgrywki polityczne w Stanach: zostawienie pieniędzy w kieszeni milionerów przez obcięcie podatków o 20%, straszenie czytelników „bolszewickimi" żądaniami związków robotniczych, pozyskanie wyborców dla republikanów (klucz do wrogości senatora Vandenberga wobec rządu polskiego można znaleźć w fakcie, że Vandenberg jest senatorem wybranym przez stan Michigan, posiadający bardzo znaczną ilość wyborców polskiego pochodzenia, zwolenników polityki Rozmarka).

Obrzucanie jakimiś oskarżeniami znacznej ilości Amerykanów, wyjeżdżających do Polski z najlepszą wolą studiów czy niesienia pomocy, byłoby wysoce krzywdzące, gdyż jest to kraj, którego obywatel robi jedno, a rząd drugie i drogi ich rzadko się spotykają. Inaczej jest natomiast z polityką dyplomacji Stanów Zjednoczonych w stosunku do Polski. Pisze się tutaj, że prawdopodobnie następnym posunięciem Stanów będzie porzucenie Mikołajczyka i skupienie wysiłków na wbiciu klina pomiędzy PPS i PPR. Obywatel Stanów Zjednoczonych ma najrozmaitsze poglądy na działalność swego rządu w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej: to się oburza, to kpi, to pochwala, znęca się nad swymi mężami stanu przy pomocy karykatury, pisze manifesty pro i contra. Może sobie na to pozwolić. Sprawa przedstawia się inaczej, jeśli idzie o postępowanie dyplomatów amerykańskich wobec naszego kraju. „Dla was tylko zabawa, nam chodzi o życie" — jak powiada pewna bajka. W Polsce jest tyle tradycyjnej sympatii dla Stanów Zjednoczonych i tak wiele byłoby do zrobienia w dziedzinie wymiany ludzi, książek i idei — że przykrą rzeczą jest obserwować cyniczne plany paru amerykańskich dyplomatów, mających wątpliwe prawo do reprezentowania swego wielkiego narodu.

Na zakończenie: najwięksi przeciwnicy bloku stronnictw (jeżeli są Amerykanami, bo Polacy-emigranci wojenni nie wznoszą się do tego stopnia obiektywizmu) twierdzą, że Polska ma obecnie na czele ludzi energicznych, pracujących produktywnie — co jest w Ameryce wielką pochwałą, śmiałych i obdarzonych dyscypliną intelektualną. Amerykanie są bowiem szczególnie wrażliwi na wyniki pozytywnej i twórczej pracy.

Jan M. Nowak

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

PUSTYNIA KARA KUM

Nie ma tu drzew ni kwiatów. Nie zakwitnąć tu im.
Suchy wiatr spalił niebo. Został popiół siny.
Pociąg biegł przez pustynię. Wracałem do ruin.
Pustynia też ma cierpki, gorzki smak ruiny.

Sęp zawadził skrzydłami o popioły nieba.
To popioły Warszawy na mych oczach legły.
Wielka pustynia we mnie rośnie i dojrzewa,
Zanim ujrzę pustynię z kamienia i cegły.

Na stacji przy lepiance lepianka przyklęka.
Spalone niebo gwiazdy za chwilę obnaży.
Placki i kwaśne mleko sprzedaje Turkmenka.
Patrzę na starożytną żółtość młodej twarzy.

Tych miejsc boi się rzeka, roślina unika,
A jednak piasek nieraz w pieśń tu się przemieni
I hoduje ogrody, na kształt sadownika,
Śpiewana na wielbłądzim garbie pieśń Turkmenii.

STEFAN OTWINOWSKI

Jak zostałem pisarzem?

Powiedzenie, że można zostać pisarzem czy filozofem z przypadku, jest sformułowaniem efektownym. Ale prawda sformułowana efektownie — nie jest prawdą. Może być formą. Wiele się robi dla dobra formy. A ostatnio właściwie za dużo. Dlatego kultura nasza, zwłaszcza daleko zachodnia, coraz bardziej jest efektowna — coraz mniej treściwa... Oto próba.

Myślę mniej więcej w ten sposób. Tylko pozornie efektowny — chwilami słuszny. A w gruncie w sposób „ciężki", utrudzający umysł, nerwy — myślę często obsesjonalnie. Są chwile, kiedy z nurtu refleksji, kojarzeń i uogólnień nie mogę się wydobyć. I wydobywam się tylko przez pisanie.

Dlatego zostałem pisarzem. Gdyby życie moich myśli było tak łatwe jak u innych ludzi, na pewno bym nie pisał. I kto wie, byłbym może naprawdę szczęśliwy, a przez to, że byłbym szczęśliwy — uszczęśliwiłbym świat łatwiej aniżeli przez trud rozumowania i eksplikі, który jest zresztą w pewnym stopniu też konieczny.

Artystą jestem na pewno nie z przypadku. Nie ma bowiem chwili, w której nie chciałbym zjawisk, a nawet procesów, reżyserować. Poza tym ruch życia przejmuje mnie nie mniej od samoczynnego ruchu mózgu zamkniętego w mojej głowie. Jeśli uda mi się pozbyć pamięci o tym drugim przetwarzaniu, oddaję się już całkowicie sprawie regulacji życia wewnętrznego. Jestem człowiekiem na wskroś towarzyskim. Nie lubię — poza odpoczynkiem, poza koniecznym rachunkiem — samotności. Najchętniej dyskutowałbym każdy skrupuł wewnętrzny publicznie. Obecność ludzi pomaga mi w powrocie do zgody na życie. Nie mogę niczego chować pod korcem. Niepewność moja, filozoficzna, jest niepewnością — czuję — wszystkich ludzi. Dlatego piszę. I cieszę się z tego, że instynkt mnie nie zawodzi.

Jak zostałem pisarzem — w sensie praktycznym? Bardzo po prostu. Żyłem przecież między ludźmi. Chodziłem do szkół, w których młodzi lubią próbować na zmianę: sportu i sztuki. Byłem nawet niezłym sportowcem. Ale w piątej gimnazjalnej choroba odsunęła mnie od boiska. Zostały książki i papier. Papieru przed wojną było dużo. Jeszcze więcej niż dzisiaj. Kiedy wstałem z łóżka — po roku — straciłem formę fizyczną, intelektualiści przyjęli moją formę umysłową.

W latach uniwersyteckich także ci sami koledzy z ławy gimnazjalnej namówili mnie, żebym wstąpił do Klubu literackiego „S". Wstąpiłem. Dyskutowałem. Opowiadałem o swych przeżyciach. Przekonali mnie, że nie wystarczy myśleć i mówić. Zacząłem pisać. Wcale nie było tak trudno wydrukować. Jako tako uporządkowane myśli. Na Senatorskiej 22 Marian Steinsberg, dyrektor starej firmy wydawniczej „Hoesick", bardzo lubił młodzież piszącą, chociaż nie lubił młodych rozpuszczać finansowo. Wydał mi, nie płacąc na razie nic, pierwszą książkę. Skoro się okazało, że książka idzie, namówił mnie do dalszego pisania. I wtedy nie skąpił nawet zachęty finansowej. Pisałem, rozumując trochę niesłusznie, że zachęta materialna nie jest przeszkodą na drodze do pisarskiej doskonałości.

W tym początkowym okresie jedna noc była szczególnie decydująca. Tak, na pewno i w mojej karierze jest coś — co mogłoby mieć walor nawet anegdotyczny. Trzeba jednak anegdotę podbudować tłem historycznym. Ów artystyczny klub „S" skupiał w latach 1933—35 całą niemal warszawską młodzież nie tylko literacką, ale również intelektualną, postępowo-polityczną — cyganerię. Przewodniczącym klubu był Jan Kott, sekretarzem Ryszard Matuszewski. Po zebraniach oficjalnych w kamienicy Baryczków, na których dyskutowało się zagadnienia związane ze sztuką, krytyką, historią — udawaliśmy się albo do Baru Wiedeńskiego na Trębackiej, albo do mieszkania prywatnego któregoś z kolegów lub koleżanek. Noc poświęcaliśmy improwizacjom: poetyckim, choreograficznym, zbiorowym. Moje pantominy miały duże wzięcie, ale nie dziwiły nikogo, ponieważ w klubie reprezentowałem sztukę aktorską.

Dopiero powiązanie aktorstwa z literaturą w specjalnie skonstruowanych opowiadaniach zjednało mi uwagę kolegów — bardziej ode mnie kutych w krytyce. Najbardziej podobały się zrobione aktorsko i tekstowo sylwetki moich gimnazjalnych profesorów. Podobno tekst był wzruszający, wart zachowania w literaturze. Nawet Włodek Pietrzak, mój jeszcze kaliski kolega, uznał, że sprawa warta jest wysiłku. Z typów, środowiska i czasu można zrobić powieść. Zrobiłem ten wysiłek. Po owym pamiętnym wieczorze — do rana, już w samotności na ulicy Brackiej, napisałem pierwszy rozdział powieści „Życie trwa 4 dni". Inne rozdziały szły mi znacznie trudniej. W projektowane raczej aktorsko fragmenty wdarł się dręczący pierwiastek refleksji. Literatura musi — myślałem już wtedy — nie tylko



STEFAN OTWINOWSKI

obrazować, bawić, ale i zmuszać do myślenia. Nie tylko autora. Jak z aktu osobistej, filozoficznej udręki uczynić sprawę dobra zbiorowego? Trudna sprawa. Biedziłem się nad krótką, 200-stronicową książką dwa lata. I tak już zawsze — tylko bez początkowego przypadku — więcej myślę o własnym pisaniu, aniżeli piszę naprawdę. Stałem się producentem najkrótszych w Polsce powieści. W tym jednym przynajmniej nikt mnie nie dystansuje. Bo w intensywności myślowej i stylistycznej mam konkurentów. Trud moich przeżyć przed i w czasie pisania rozumie — mam nadzieję — wielu piszących i wielu chcących pisać.

Stefan Otwinowski

Zaprenumerować

»ODRODZENIE«

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 180 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

TADEUSZ PEIPER

„Homer i Orchidea"

I

Autorskie wskazówki Gaycego mają znaczącą odrębność: roją się od porównań i przenośni, które poetyckością przewyższają wszystko, co mówią postacie utworu, nie wyłączając poety Homera. O takiej poetyckości, umieszczonej w nawiasach skryptu teatralnego, można by sądzić, że zajęła miejsce nie swoje. Ale nie. Porównania i przenośnie, które Gaycy wszeptał w nawiasy swych autorskich wskazówek, choć zawsze służą tworzeniu ogólnej atmosfery scenicznej, najczęściej rację swoją okazują w odniesieniu do konkretnych szczegółów, ściślej ujmując życzenia autora, niżby to czyniły najdokładniejsze określenia realistyczne. Gdy Gaycy o wstędze Orchidei pisze *„czerwona jak serce"*, uściśla czerwoność, o którą mu chodzi; gdy o morzu pisze *„popielate jak zwierzątko"*, uściśla prócz zasadniczej barwy jeszcze jej odcienie, a nawet zależność tego zespołu barw od kształtów, które biorą go na siebie; gdy o wróżce, wyczytującej przyszłość z wróżebnej kości, pisze *„pochyla twarz nad małym przedmiotem jak nad jeziorem"*, uściśla obraz ludzkiego ruchu; gdy o tej samej wróżce pisze *„zastygła nad kośćmi z twarzą śpiącego ptaka"*, uściśla obraz ludzkiego bezruchu; gdy o burzliwym wichrze, który wdarł się do izby przez drzwi nagle otwarte, pisze *„gałąź szeleszczącego powietrza powiewa nad stojącymi"*, uściśla moment całego obrazu scenicznego. Już ta odrębność autorskich wskazówek świadczy, że z zadziwiającą ścisłością widział Gaycy wszystko, co wprowadzał na scenę.

O tym samym świadczą także wskazówki typu ogólnie przyjętego. Wśród nich szczególnie te, które podszeptują aktorom ton wypowiedzi, wyróżniają się troską o fonetyczne różnicowanie mowy, troską o subtelne zmiany, w jakie mowa ma obfitować. Czuje się, że Gaycy każde zdanie swych postaci słyszał i widział. Tak, widział, bo to, jak postać mówi, łączył w każdym momencie z tym, co ona wyraża całą sobą.

Ta szczegółowość, ta ścisłość, z jaką pracowała sceniczna wyobraźnia Gaycego, budzi zaufanie.

II

Kapłan Apollina zarysowuje tło dziejowe: na pobliskich ziemiach toczą się wojny, zmienia się oblicze świata, zmienia się człowiek.

W takiej epoce przemian nabiera znaczenia stosunek ludzi do bogów. Ale bogami nie zawsze są dla ludzi nie-ludzie, mieszkańcy świata zaziemskiego; czasem za bogów uchodzą ludzie, którzy zdołali skupić w sobie najwyższe ludzkie władze, czasem uchodzą za bogów mocarze, od których zależy los słabszych, czasem uchodzą za bogów mocarstwa, władczo rozstrzygające o losach świata.

Ludzi, tylko ludzi widzi w bogach Orchidea, i odpowiednio do tego ustosunkowuje się do nich. Gdy w świątyni przed posągiem Apollina prosi boga o uzdrowienie Homera, czyni to tak, jakby prosiła o pomoc... kochanego mężczyznę. Pewna swego, zaczyna z miłością i ufnością, gotowa głaskać „kamiennego człowieczka; gdy posąg żadnym znakiem nie daje jej odpowiedzi, zwraca się do niego z przynaglającymi napomnieniami; gdy posąg uparcie milczy, reaguje na milczenie kpiną, oskarżeniem, kłótnią, zarzuca „bogu" pustkę oczu, niecne intryganctwo, podstępną politykę, wygodnictwo, brak wielkości, bezsiłę, no i rzuca mu w twarz lekceważące słowo, jakim nieraz posługuje się w sporach z mężczyznami: „słabeusz"! Ta rozmowa z „bogiem", słuchana przez Gaycego uchem czułym, a podana nam z kunsztowną miarowością, zastanawia tym bardziej, że podejrzewa się ją o aluzje polityczne do spraw ,które unosiły się nad latami naszej wojny.

Inaczej niż Orchidea odnosi się do „bogów" Homer. Marzący o własnym despotyzmie przynajmniej w stosunkach z ukochaną kobietą, uznaje także despotyzm potęg władczych. To utrzymuje go w granicach wierzeń gromady i czyni z niego konformistę, może nawet oportunistę. Jego konformizm czy oportunizm wspiera troska o to, co stanowi najistotniejszą treść jego życia: jest poetą, chce spokojnie żyć dla poezji.

Wprowadziwszy w utwór potęgi decydujące o życiu słabszych, musiał Gaycy wprowadzić także sprawę win, powodujących okrutne wyroki

JERZY ANDRZEJEWSKI

ZARAZ PO WOJNIE

(7)

POWIEŚĆ

— Prawda! — przypomniała sobie Staniewiczowa. — Zagadali się pewnie na śmierć. Cóż za nieznośni ci mężczyźni!

Przeszła przez pokój i przy drzwiach zawołała:

— Halloo!

— Prosimy — odpowiedział ze środka Waga.

Wszedłszy przymknęła za sobą dyskretnie drzwi.

— Ależ nakopciliście! — zawołała.— Udusić się tu można.

Rzeczywiście nieduży pokój szary był od dymu papierosów. Waga podniósł się. Andrzej Kossecki także wstał.

— Nie przeszkadzam? Skończyliście już?

— Mniej więcej — odpowiedział Waga. — Miała pani zdaje się nowego gościa.

— Nic ważnego — zbyła to lekko. Rodzinna wizyta. Więc rzeczywiście skończyliście?

Waga skłonił głowę.

— To świetnie! Zabieramy was wobec tego na szaleństwo.

— Cóż to znowu? Gdzie?

— Do Monopolu. Musimy przecież uczcić jakoś koniec wojny. I nasze plany, kapitanie — dodała znacząco. — Mam nadzieję, że się nieźle mają?

— Nienajgorzej.

— To znakomicie! Idziemy zatem, tak? Widzę, że już się pan zastanawia.

— Rzeczywiście — przyznał. — Mam jeszcze pewne spotkanie.

— Osobiste?

— Niezupełnie — uśmiechnął się.

— To może pan nie iść — zadecydowała. — Na pewno nic ważnego.

— Przeciwnie.

Staniewiczowa westchnęła.

— Jaki pan nudny, kapitanie, z tymi wiecznymi swoimi spotkaniami! Więc dobrze, niech już pan idzie. Ale później dołączy się pan do nas?

— Postaram się.

— Żadne postaram się! Na pewno tak?

— Prawie na pewno tak — uzupełnił.

Stanowiczowa uśmiechnęła się.

— Nieznośny z pana człowiek. Trzymam jednak za słowo. A pan, Andrzeju — spojrzała na zamyślonego Kosseckiego — też pan ma spotkanie?

— Właśnie w Monopolu — odpowiedział.

— Co pan mówi? Kobieta?

— Mężczyzna.

— Mam nadzieję, że nie poświęci pan temu mężczyźnie całego wieczoru?

— Kwadrans najwyżej.

— Świetnie! Więc nie żegnamy się— przypomniała. — I, moi drodzy, błagam was, żadnych poważnych rozmów. Chcę, żeby było dzisiaj wesoło...

— — — — — — — — — — — —

Waga pożegnał się z Andrzejem Kosseckim zaraz przed bramą. Uliczka była krótka i zaciszna, wraz z różowawymi domami i kłębami młodziutkich kasztanów zanurzona w rdzawym zmierzchu. Ciężkie chmury zaciągnęły niebo. Parno było bardzo i bezwietrznie.

— Burza będzie — powiedział Waga. — Pan do Monopolu?

— Tak.

— Ja w przeciwnym kierunku. Wszystkiego zatem dobrego.

— Do Monopolu nie przyjdzie pan?

— Wątpię. Zobaczę zresztą.

Uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się każdy w swoją stronę. Andrzej poszedł w kierunku Trzeciego Maja.

Aleja, z jednej strony granicząca z parkiem Kościuszki, pełna była spacerujących. Godzina policyjna obowiązywała nadal, więc ludzie tłumnie korzystali z krótkiego majowego wieczoru. Parami, przytuleni do siebie, lub w kilkoro, trzymając się pod ręce, śmiejąc się i hałasując, przechadzali się pod kasztanami młodzi przeważnie: wyondulowane i czubate dziewczęta w jasnych sukienkach i w drewniakach na wysokich obcasach, chłopcy w marynarkach narzuconych na ramiona, w koszulach z zawiniętymi rękawami, niektórzy w płóciennych shortach. Wszystkie ławki pod rozłożystymi kasztanami zostały szczelnie pozajmowane. Wśród tłumu było dużo wojskowych. Kilku żołnierzy rosyjskich, krępych Kałmuków o wschodnich, obcych twarzach, obstawiło ławkę, na której siedzieli ich towarzysze. Jeden z nich przygrywał na organkach.

Chmurzyło się tymczasem coraz bardziej. Ciężka duchota zawisła w powietrzu i ciemniejącą głębię nieba raz po raz rozdzierały krótkie, jeszcze bezgłośne błyskawice. Wobec nieukończonych działań wojennych zaciemnienie nadal obowiązywało. Nie paliły się lampy uliczne. Przedwczesny mrok dokoła gęstniał. Czasem tylko reflektory aut rozjaśniały pomrokę. Odblask długich smug naświetlał wówczas przez moment cienie ludzi wśród drzew, w górze nieruchomy gąszcz kasztanów, w głębi — rozległą perspektywę Alei. Potem gwałtowny, szaro-żółty cień na wszystko zapadał.

Andrzej szedł zamyślony, nie zwracając na ludzi uwagi. Radiowe głośniki powtarzały ostatni komunikat. Ten sam, co po południu, męski głos skandował donośnie w ciemnościach:

— Operacje wojenne zostają wstrzymane w sobotę o godzinie ósmej rano...

Następny, o kilkadziesiąt kroków oddalony głośnik podejmował cichnące słowa:

— Akt niniejszy stanowi przygotowanie ostatecznej i całkowitej kapitulacji Niemiec.

Mrok zapewne sprawiał, że głos speakera donośniej teraz rozbrzmiewał niż za dnia. Niewidzialne głośniki wynosiły ponad Aleję i ponad falujący tłum te same słowa, równo skandowane nienaturalnie wyolbrzymionym głosem. Samotnie w górze wołających nikt teraz nie słuchał. Zwycięstwo, na które przez sześć długich lat czekano, należało już do dnia wczorajszego.

— — — — — — — — — — — —

Całe popołudnie Alek spędził nad Sreniawą. Kąpał się i próbował flirtować z jakimiś przygodnymi i nie tutejszymi dziewczętami. Potem, gdy się już miało ku zachodowi, a czasu wolnego miał przed sobą dosyć, poszedł do kina Bałtyk na sowiecki film z partyzantki. Jeszcze potem, w małej kawiarence niedaleko Rynku, najadł się włoskich lodów. I nawet się nie obejrzał, gdy stało się późno.

Teraz bardzo się śpieszył. Zgrzany, bez czapki, w marynarce narzuconej na ramiona, szedł trzeciomajowym deptakiem tak prędko, że wyminąwszy w pewnym momencie grupkę kilku chłopców i dziewcząt, omal nie wpadł wprost na Andrzeja. Dojrzał wysoką sylwetkę brata w ostatniej chwili, o parę kroków, i chociaż przez sekundę znieruchomiał, całkiem się straciwszy, zdążył przecież uskoczyć w bok, ku ławkom. W półmroku potknął się o czyjeś nogi w długich butach.

— Co jest, do cholery! — sklął go ktoś zapalczywie.

Usunął się pośpiesznie, lecz znów kogoś nadepnął. Kobieta pisnęła tym razem.

Tymczasem Andrzej przeszedł, nie zauważywszy brata. Alek natychmiast dał nurka w tłum i po kilku dopiero dobrych chwilach ochłonął z wrażenia. Przystanął, obtarł spocone czoło i przygładził włosy. Tam, do licha! Przed samym sobą się zawstydził, że tak łatwo i z tak nieważnej przyczyny uległ zbędnemu popłochowi. Cóż by się ostatecznie stało, gdyby go Andrzej spostrzegł? Pewien był, że brat o niczym nie wie i wiedzieć nie będzie. Ufał matce w takim samym stopniu, w jakim jej zaufania nadużył. Gdyby nie miał przeświadczenia, że cała ta sprawa pozostanie tajemnicą pomiędzy nim i matką, czy zdobyłby się na kradzież? Nie był tego pewien. Przekonał się dzisiaj, że zadanie bólu komuś, przez kogo się jest kochanym, wymaga wprawdzie pewnego wysiłku i przełama-

tych potęg, i sprawę możliwości przeciwstawienia się ich okrutnym wyrokom. I w tych sprawach Orchidea i Homer różnią się od siebie. Wydobywając różnicę, kształtuje Gaycy obie postacie bardzo konsekwentnie: Orchidea nie wierzy w nieodmienność wyroków, w nieodmienność losu, i dlatego właśnie istnieje dla niej wina i niewinność. „Kto winien wszystkiemu?" — to pytanie tłoczy jej umysł. Winę nieszczęść, które spadają na nią i na jej Homera, przypisuje sobie i skłonna jest uczynić co trzeba, aby oboje od winy uwolnić i los obojga odmienić. W tej niewierze w los nieodmienny przejawia się ten sam człowiek, którego poznaliśmy poprzednio jako niewierzącego w wielkość i moc „boga". Dla Orchidei nic nie znaczą systemy myśli, stworzone przez racje, których nie potwierdza jej własne życie.

Homer inaczej. Gdy Orchidea zadaje pytanie, kto winien wszystkiemu, on pytanie to przekreśla: „*nie szukajmy winnego*"; gdy ona winę przypisuje sobie, on wskazuje na żelazne prawa, z których wyniknęło to, co się stało, wskazuje na los jako na przyczynę ich nieszczęść, na Ananke. Myśląc fatalistycznie, nie uznaje winy ludzi, wierzy, że wszystko, co się dzieje, było postanowione od dawna, i bunt przeciwko losowi, przeciwko wyrokom władczych potęg, uważa za daremny. Jest to ten sam człowiek, którego poznaliśmy poprzednio jako skłonnego do despotyzmu w życiu osobistym i do konformizmu wspieranego upodobaniami osobistymi. Fatalistycznie myślący Homer bierze na siebie swój los z pokorą, a nawet znajduje w swych nieszczęściach pociechę: z nieszczęść korzysta jego poezja.

III

Wśród takich to spraw i takich ludzi rozsnuwa utwór swe zdarzenia i rozmowy.

Po dojściu do pełnoletniości miał Homer stawić się w świątyni Apollina, aby wziąć od niego wskazówki na dalszą drogę życia, ale Homer zaszedł do świątyni siedem dni wcześniej, a że „bogowie" despotycznie wymagają jak najściślejszego posłuchu dla swych nakazów, niecierpliwemu młodzieńcowi, który drobiazgiem kilku dni ubiegł boży termin, ukazuje się postać kobieca i objawia straszną przyszłość: będzie ślepy. Taką karę poniesie zawczesność niecierpliwego.

Orchidei, która naraziła się „bogu" za pogardliwy stosunek do niego, pojawia się wróżka i przepowiada, że na nią i na Homera spadną klątwy ludzi, oboje pójdą drogą nieudźwignionych nieszczęść, Orchidea będzie czuwała nad ślepotą swego męża, jak gdyby był dzieckiem. Tą przepowiednią uzupełnia się przepowiednia usłyszana przez Homera.

Jak spełnią się te przepowiednie? Jasno ukazuje nam autor tyle: podłożem spełnień są nieuzasadnione wierzenia gromady, iskrą zapalną — egoizm jednostek. Komuś zniknął bursztyn, gromada wierzy, że zdziałał to gniew boga, a to była sprawka złośliwego chłopaka; kto inny twierdzi, że natknął się na potwora, a choć rzeczywistość takich potworów nie zna, gromada wierzy, że bóg dał jej nowy znak swego gniewu; groźnie wzburzają się fale morza, łodzie długo nie będą mogły wypływać na połów, jeszcze jeden znak złowrogi. W te nastroje, rozwichrzane błędnymi wierzeniami, wnoszą swój ogień egoizmy nieuczciwych jednostek. Rybak, kochający się w Orchidei, a przez nią odtrącony, rozpala gromadę przeciwko niej i Homerowi, dowodząc, że bóg rozgniewał się na wieś z powodu zniewag, jakich dopuściła się Orchidea; podobnym ogniem działa kobieta nienawidząca Orchidei jako swej rywalki. Podburzona gromada rzuca klątwę na Orchideę i Homera, wypędza ich ze wsi, gna na wzburzone morze. Tak spełnia się c z ę ś ć przepowiedni.

Z zainteresowaniem, w którym drgają pytania i wzruszenia, oczekujemy dalszego rozwoju dramatu. Jak zrealizuje się w nim pozostała zawartość przepowiedni? Jak autor sprowadzi na Homera ślepotę, jakie wstrząsy życiowe każe mu przebyć na drodze do tego rozpaczliwego momentu, który ma pozbawić go wzroku? Rozczarowujemy się. I srogo. Gaycy w ogóle nie uznał za stosowne zająć się tym tematem. Po opuszczeniu rodzinnej wioski znika nam Homer na lat t r z y d z i e ś c i, a gdy ponownie ukazuje się przed nami, jest już ociemniały i ani nawet z relacji nie dowiadujemy się, jak popadł w to kalectwo. Utwór zieje luką. Luką niedopuszczalną. Błąd — sam przez się — najistotniejszej natury, powiększa się jeszcze o błędność pochodzącą z zaniedbania najpoważniejszych związków myślowych, sugerowanych przez Gaycego. Jedna z wróżek przedstawia przyszłą ślepotę Homera jako karę wymierzoną człowiekowi, który ujrzał tajemne sprawy bogów, który przeniknął tajemnice losu, a o drugiej wróżce jego ślepoty słyszymy, że pojawia się tylko wybranym; oczekiwaliśmy więc, że Gaycy ukaże nam w Homerze człowieka zmagającego się z tajemnicami, i że to będzie znamieniem jego wybraństwa, i że to będzie zgubą oczu, które ujrzały zbyt wiele. Wprawdzie w o s t a t n i ą odsłonę wpakował Gaycy trzy zdania o odkryciu tajemnicy „boga", dokonanym przez Homera przed t r z y d z i e s t u laty, gdy za ostatniego pobytu w świątyni stanął przed bogiem, który płakał i który świadkowi swego płaczu, więc swej słabości, zabrał oczy, ale nie jest to rozwiązanie sprawy, to tylko załatanie dziury. Błąd jest tak rażący, że chwilami chce się wywieść go z przypadku: może napisanie tej ważnej i trudnej partii utworu odkładał autor na koniec swych prac, a tylko przedwczesna śmierć udaremniła jego zamiar?

W ogóle druga połowa utworu opada na poziom o wiele niższy niż ten, na jakim stanęła pierwsza. Tam sute tworzywo, rozplanowanie racjonalne, wątki ściśle ukierunkowane, sytuacje nasycone; tu wszystkie te wartości — nieobecne, poziom bardzo niski. Czy przedwcześnie zmarły autor nie opracował utworu ostatecznie? Czy może intelektualnie nie podołał sprawom, które podjął? Czy może czekał na wynik n a s z e j wojny, uzależniając od niego swój ostateczny sąd o sprawach świata?

Znamiennie ujmuje koleje skazańców.

Dzięki wygnaniu, dzięki długiej tułaczce, stworzył Homer pieśń o wojnie trojańskiej. I oto nagle pieśń ta, zrodzona z okrutnego losu pieśniarza, ma los ten odmienić. Odgłos, jaki znalazła na ziemiach greckich, udziela się także wsi rodzinnej wyklętego, udziela się całej gromadzie wiejskiej, która zmienia swój stosunek do wygnańca i wzywa go do powrotu. Swym czynem, swym dziełem, swą sławą zmienia Homer nastroje ojczyzny. Uzyskuje przebaczenie tych, którzy go wyklęli i wygnali, uzyskuje wyzwolenie ze swej niezawinionej winy. Uzyskuje je — bez udziału „boga", który wyrok swój przelał w wyrok gromady. Uzyskuje je — wbrew temu „bogu". Bo wprawdzie w chwili, kiedy wysłańcy rodzinnej wsi błagają go o powrót, minęły już lata, które z wyroku „bożego" odmierzały czas jego wygnania, ale na ten fakt gromada nie powołuje się wcale, powołuje się tylko na pieśń, na dzieło, na czyn, i tylko one przerzucają ją od srogiego wyroku do przebaczenia i wieńczenia laurem. Zwycięstwo dobrego dzieła nad losem najokrutniejszym, zgotowanym przez największe potęgi życia — to jest w przedostatniej odsłonie jej najogólniejszym tonem. W swym ostatecznym wydźwięku niesie ta odsłona ideę, która może ożywiać siły jednostek, obozów, narodów.

Nagle zmiana. W końcowych wynikach prowadzi ona do tego, że Homer przeklina swój pieśniarski instrument, usiłuje połamać formingę, rzuca ją na ziemię, kopie nogą struny, rozstaje się ze swym pieśniarstwem; Orchidea zaś, chora od cierpień, ma nad swym posłaniem mały ołtarzyk tego właśnie „boga", od którego niegdyś odwróciła się buntowniczo, i przekonywa teraz Homera, że temu „bogu" m u s i być posłuszny. Konformista, biernie poddający się losowi i wśród nieszczęść pocieszający się zdobyczami osobistymi, musi zdobycze te zarzucić, a dusza buntownicza zarzucić musi swój bunt. Tak pesymistyczną nowość przynosi nam odsłona ostatnia. Niejedno wskazuje na to, że Gaycy dopisał ją w którymś z tych rozpaczliwych momentów n a s z e j wojny, kiedy to sytuacja Polski umysłom strwożonym wydawała się beznadziejna.

Zarówno w tej pesymistycznej partii utworu, jak i w jego partiach optymistycznych, przejawiają się niepokoje polskich dusz i umysłów, wstrząsanych nieoczekiwanymi zdarzeniami minionej wojny. Utwór, pozornie tak bardzo oddalony od naszych czasów, jest im w rzeczywistości bliski. Nadzieje i rozpacze, jakie przeżywali Polacy po roku 39, przerażone pytania sięgające w tajemne przyczyny tego, co się dzieje, i trudy myśli szukających zbawczej odpowiedzi, bo bez niej nie wiadomo było, jak z życia układać dzieje i jak z niego układać dzień, te to stany duszy i umysłu otrzymały w „Homerze i Orchidei" wyraz najbardziej syntetyczny, tak syntetyczny, że nieraz trudno w nim rozpoznać rzeczywistość, która go wydała. „Homera i Orchideę" należy włączyć w literackie dokumenty straszliwych lat.

JEDEN Z NAJBLIŻSZYCH NUMERÓW „ODRODZENIA" POŚWIĘCONY BĘDZIE

KAROLOWI SZYMANOWSKIEMU

UKAŻĄ SIĘ W NIM M. I. PRACE

JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO, JERZEGO BROSZKIEWICZA, ADOLFA CHYBIŃSKIEGO, ZBIGNIEWA DRZEWIECKIEGO, STANISŁAWA GOLACHOWSKIEGO, ANNY IWASZKIEWICZOWEJ, JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA, ZDZISŁAWA JACHIMECKIEGO, MARII KASPROWICZOWEJ, WACŁAWA KUBACKIEGO, STEFANII ŁOBACZEWSKIEJ, ZYGMUNTA MYCIELSKIEGO, JULIANA PRZYBOSIA, KAROLA STROMENGERA

W sprawie „Soczewicy"

Stefan Flukowski — w liście do redaktora „Odrodzenia" — oskarżył niejakiego Peipera o popełnienie kilku zbrodni na arcydziele „Soczewica koło miele młyn".

Jako pierwszą zbrodnię przytoczył jedno ze zdań oskarżonego, które jednak zniekształcił — mimo ujęcia go w cudzysłów! mimo nadania mu postaci cytatu! Każdy może sprawdzić, że w „zacytowanym" zdaniu jest mowa o kmieciach, a nie o s p r a w i e kmiecej! Ponieważ p. Peiper absolutnie wyklucza, aby Stefanem Flukowskim kierowała intencja nieuczciwa, musi przyjąć, że błąd autora „Soczewicy" pochodzi z zamroczenia oczu lub z zamroczenia umysłu.

Taki sam wniosek nasuwa się przy rozpatrywaniu dalszych zbrodni, a skoro tak, to dalszą wymianę zdań z młynarzem, którego młyn miele młyńskie koło, musi p. Peiper odłożyć do czasu, kiedy zniekształcające zamroczenie rozproszy łaska świateł.

Tadeusz Peiper

nia się, lecz nie grozi następstwami przekraczającymi miłość. Tak sądził. Nie czuł w sobie natomiast dość odwagi, aby złym czynem ściągnąć na siebie ciężar odpowiedzialności. Nie posiadał niestety — stwierdził to znów ze wstydem — zuchwalstwa Jurka Szrettera. Jakże mu zazdrościł tej z niczym się nie liczącej odwagi i jak bardzo pragnął móc mu dorównać!

Przy pierwszej przerwie w trawniku Alek zboczył z Alei i szeroką, spacerową ścieżką isć począł przez park. Na jego skraju snuło się trochę samotnych, przytulonych do siebie par. Przyśpieszył niecierpliwie kroku. Jeszcze jedną, w cieniu drzew szepcącą parę wyminął. I już był sam jeden. Dokoła mrok prawie nocny. Fantastyczne zarysy pni, tajemnicze gąszcze, a pomiędzy nimi, pełne milczenia i ciemności, wolne przestrzenie. Doszedł do stawu. Jego ciemna i gładka powierzchnia bezgłośnie i nieruchomo leżała pod spiętrzonymi chmurami płaczących wierzb. Przez moment zaniosło od wody świeższym, wilgotnym podmuchem. Cisza tu była i zupełna pustka. Ani żywego człowieka. W powietrzu drżało lekkie bzykanie komarów. Żwir skrzypiał cienko pod krokami. Im dalej w głąb, tym park stawał się dzikszy i bardziej tajemniczy.

Alek minął jeszcze jeden staw i skręcił w boczną ścieżynkę. Gąszcz wysokich grabów i buków zamykał przestrzeń ze wszystkich stron. Niżej zarośla bzów, jaśminu i czeremchy. Mimo ciemności Alek doskonale się tu orientował, na pamięć znał każdy zakątek parku i wszystkie sekretne ścieżki. Nagle przystanął, wstrzymał oddech. Ktoś szedł za nim. Z ciszy, jaka trwała dokoła, uchwycił ledwie wprawdzie dosłyszalny, lecz charakterystyczny szelest żwiru. Zeskoczył ze ścieżki i skrył się w gęstych krzakach bzu. Nie czekał dłużej niż pół minuty. Serce biło mu gwałtownie. Kroki się zbliżały. Wreszcie zarysowała się w mroku sylwetka człowieka. Odetchnął z ulgą, poznawszy Felka Szymańskiego. Gwizdnął cicho. Tamten się zatrzymał. Alek wyskoczył na ścieżkę.

— Serwus!

— Serwus.

Felek był niższy od Alka, krępy, mocno zbudowany, o twarzy tatarskiej i ciemnych, bardzo gęstych i kręcących się włosach.

— Przestraszyłeś się, co?

Felek wzruszył ramionami.

— Czego?

— Jak gwizdnąłem...

— Więc co? Wiedziałem przecież, że to ty.

— Niee? — spojrzał z niedowierzaniem Alek. — Widziałeś mnie?

— Pewnie, że cię widziałem.

— Dawno?

Felek przymrużył ciemne, skośne oczy.

— Wystarczy.

Alek wyraźnie zmarkotniał.

— Nie martw się! — pocieszył go tamten. — I chodźmy już, późno.

Chwilę szli w milczeniu.

— O rany, co za cholerna duchota! — mruknął Szymański.

Rzeczywiście nie było czym oddychać. Powietrze gęste było i lepkie. Błyskało coraz bliżej.

— Która godzina? — spytał półgłosem Alek.

Felek podniósł rękę.

— Nie możesz dojrzeć?

— Zapomniałem, cholera, że nie mam zegarka — odparł Felek. — Ale dochodzi pół do dziewiątej, może już nawet po...

Teren parku stawał się nierówny. Wznosił się lekko wśród łagodnych pagórków i opadał nagle szczelinami wąwozów.

— Masz? — odezwał się znowu Alek.

— Co?

— Forsę?

— Mam. Uważaj, skręcamy.

Alek się zatrzymał.

— Poczekaj, znam inną drogę, krótszą i wygodniejszą. Zaraz niedaleko, za tamtym dębem.

O kilkanaście kroków dalej ciemniał w mroku ogromny i ciężki zarys rozłożystego drzewa.

Felek uśmiechnął się.

— Zaszedłeś nas tamtędy od tyłu...

— Pamiętasz?

— No? Ale swoją drogą pucówkę wtedy dostałeś.

— Kto, ja? — oburzył się Alek. — Wyście wtedy oberwali. Ja byłem z Jurkiem, a ty z Januszem i Marcinem. Nie pamiętasz?

— Aha, rzeczywiście — przypomniał sobie Felek.

Obaj przenieśli się przez moment w odległe czasy, kiedy cała ta strona parku Kościuszki, pusta i dzika, była terenem ich wczesnoszkolnych zabaw.

Zaraz za owym dębem nikła ścieżynka wiodła w głąb zarośli. Alek poszedł pierwszy, za nim Felek. Teren dość gwałtownie zbiegał w dół. Tu kończył się park i wysoko w górze, na krawędzi stromego urwiska, majaczył druciany parkan. Dalej była podmiejska ulica, teraz ciemna i opustoszała. Kilka nikłych, jak gdyby w powietrzu zawieszonych światełek prześwitywało z zaciemnionych domów. Okno jednego z mieszkań musiało być otwarte, dobiegały bowiem stamtąd wyraźne dźwięki fortepianu. Ktoś jechał środkiem jezdni na rowerze. Malutkie światełko przypominało z dołu świętojańskiego robaczka.

Zarośla podchodziły pod strome urwisko.

— Tędy! — szepnął Alek.

Skręcił na lewo i posuwał się w głąb z niezmienną pewnością, ostrożnie rozgarniając ciężkie od świeżego listowia gałęzie. Niebawem zatrzymał się.

— Już!

Felek przysunął się do niego.

— Fajnie! Rzeczywiście tędy bliżej.

— A widzisz!

Przed nimi, o krok zaledwie, zarośnięta gęstą trawą i niskimi krzakami, widniała niska jama. Powiało od niej piwnicznym chłodem. Zgięci w pół poczęli się posuwać w głąb ciasnym korytarzem. Dno jego było nierówne i kamieniste. Wtem rozległ się przed nimi w ciemnościach ściszony głos:

— Kto idzie?

— Wolność — oznajmił lojalnie Alek.

Felek potknął się akurat o jakiś kamień.

— Cholera! — zaklął po swojemu. — Zaświeć, Marcin, nie wygłupiaj się.

Błysk kieszonkowej latarki oświetlił korytarz. Nieco w dole i pod bardzo niskim sklepieniem stał mały, drobny Marcin Bogucki. Felek rozejrzał się po ścianach.

— Co jest, zmniejszyła się ta nora, czy co?

— Ty urosłeś! — zaśmiał się Alek. — Ale niewiele.

— Mnie starczy — burknął Szymański.

Przywitali się z Marcinem. Rękę miał chłodną i wilgotną. Nie był zdrowy.

— Jurek jest? — spytał Alek.

— Już dawno. Pierwszy przyszedł.

Zgasił latarkę. Ostry skręt korytarza otworzył przed nimi nagle niezbyt rozległą, lecz wysoko sklepioną piwnicę. Zawieszona na ścianie latarka oświetlała chwiejnym płomykiem rude mury i twardą, nierówną, lecz szczelnie ubitą podłogę. Po kątach ciemniał półmrok. W kilku miejscach bielały duże kamienie, przytoczone tutaj w owych jeszcze czasach, gdy służyć miały jako siedzenia przy uroczystych naradach szlachetnych wodzów Indian. Z nogą wspartą o jeden z tych kamieni, stał Jerzy Szretter. Był wysoki, szczupły, o jasnowłosej, wąskiej, nieco ptasiej głowie, w sportowym ubraniu i miękkiej skórzanej wiatrówce. Nieopodal niego opierał się niedbale o mur Janusz Kotowicz, elegancki jak zawsze, trochę zblazowany, a przynajmniej zblazowanie udający, w nienagannie zaprasowanych, szarych flanelowych spodniach i długiej, luźnej marynarce.

— Cholera! — mruknął Felek rozejrzawszy się po piwnicy. — Nic się tu nie zmieniło. Tylko z tymi rozmiarami coś nie w porządku. Serwus, Jurek!

Szretter podniósł głowę.

— Spóźniliście się.

Miewał ten sposób mówienia, spokojny i jasny, wsparty o lekki ton wyższości, którym zawsze się posługiwał w stosunku do przyjaciół, gdy chciał im dać odczuć dystans pomiędzy sobą i nimi.

Alek poczerwieniał. Natomiast Felek, który mniej sobie brał do serca wodzostwo Jerzego, wzruszył ramionami.

— Tak? Chyba nieduże?

Jurek Szretter skierował w jego stro-

HENRYK VOGLER

Pieśń i karabin

Władysław Broniewski. Krzyk ostateczny. Wydanie drugie. Warszawa, „Wiedza“, 1946; str. 30 i 2 nl. — Bagnet na broń. Łódź, „Książka“, 1946, str. 46 i 2 nl. — Drzewo rozpaczające. Łódź, „Książka“, 1946; str. 88 i 4 nl.

Broniewski jest dla pokolenia lat międzywojennych nie tylko znakomitym poetą, ale — przede wszystkim — mającym określoną postawę społeczną i polityczną — człowiekiem. Wiersze jego to twory wypróbowanej i prawdziwej sztuki, ale i hasła bojowe, manifesty humanizmu, żołnierskie czyny, które kształtowały świadomość rewolucyjną narodu na równi z najbardziej materialnymi elementami jego codziennej egzystencji.

Obcując z poezją Broniewskiego, trudno o tych momentach zapomnieć. Zresztą, bywają dzieła sztuki tak mocno splecione z aktualną chwilą historyczną, z rzeczywistością społeczną, że te momenty, które, jako należące do innego kręgu pojęć, trzeba by od całości wyrazu artystycznego dość ostrożnie oddzielać — stają się wtedy po prostu częścią składową techniki poetyckiej, są już nie tylko świadectwem ideologicznej postawy, ale i środkami ekspresji. W poezji rewolucyjnej Broniewskiego słowo „rewolucja“ miewa swoją czystość poetycką właśnie dlatego, że potrąca o wartości i związki zawarte poza wierszem, że naładowane jest treścią, przeniesioną wprawdzie z innego systemu układów, ale która dopiero w tym świecie poetyckim eksploduje z właściwą siłą. Słowa takie jak „karabin“, „bagnet“, „barykada“, „pięść“ — mają czysto życiową siłę emocjonalną, ale ich skojarzenia budują w wyimaginowanej rzeczywistości poetyckiej własny świat wzruszeń.

Spróbujmy to wyjaśnić na przykładzie. W pięknym wierszu przedwojennym „Magnitogorsk albo rozmowa z Janem“, złożonym z elementów najczyściej prozaicznych i konkretnych („siedzę z Janem w trzynastej celi — na Ratuszu, pośrodku miast“, „smród, robactwo, ciężkie chrapanie...“, „Jan ma katar żołądka — no i lat bez mała sześćdziesiąt“ itd.), uszeregowanych w prostej kolejności — osią emocjonalnego napięcia wiersza jest nazwa „Magnitogorsk“. To słowo otrzymuje swój sens poetycki; „płonie ono w śledczym areszcie“, opromieniając ponurą celę więzienną dziwnym blaskiem, dzięki skojarzeniom, wywołującym — na jego dźwięk — odpowiednie obrazy emocjonalne. Ten szereg idealny włącza się pomiędzy realne szeregi struktury wierszowej, wizja wyimaginowanej rzeczywistości staje wśród surowych czterech ścian więziennych i gdy w zakończeniu wiersza powiada poeta: „i płonęły w śledczym areszcie wielkie piece Magnitogorska“ — wiemy, że nie chodzi tu o Magnitogorsk i jego hutnicze piece, że poza nimi jaśnieje płomień idei, który surową rzeczywistość wywyższa i uwzniośla. Słowo określonej kategorii i ścisłej dymensji ukazuje nagle jakby czarodziejskie, rozsuwające się coraz bardziej w głąb dno, staje się poezją.

Ten sposób tworzenia poetyckiej rzeczywistości jest dość niebezpieczny. Często słowo poetyckie, intencjonalnie perspektywiczne, w realizacji jest surowym okruchem pozapoetyckiej rzeczywistości, nieprzetłumaczalnym na język poezji albo przetłumaczalnym, ale dopiero drogą filologicznej czy encyklopedycznej egzegezy. (Byłem na pewnym wieczorze recytacyjnym; recytator wygłosiwszy wiersz „Bagnet na broń“ próbował własnymi, niezdarnymi słowami wytłumaczyć publiczności „słowo generała Cambronne“).

Broniewski jest, w pewnym sensie, poetą żywiołowym i niecierpliwym. W gniewnej namiętności bierze i zużytkowuje materiał swojej poezji w takiej postaci, w jakiej go zastaje na szerokich drogach życia. Czyni to zresztą świadomie. Wiersz jego jest bronią w rękach żołnierza, poeta walczy nim i uderza, ale tak, jak ktoś w afekcie uderza pierwszym znajdującym się pod ręką narzędziem, nie dbając o jakość ostrza. W gniewie nie czas na zimną kalkulację i rozwagę. Ten motyw poezji jako oręża powtarza się u Broniewskiego wielokrotnie. W „Bagnecie na broń“ „wiersz — to strzelecki rów“. W „Homo sapiens“ poeta to „mściwy lotnik“, który „bombami słów złowieszczo zbrojny“ ciska je „w zaciemnienie wojny“. Zwracając się „Do przyjaciół-poetów“ zapowiada „nasze słowa staną jak wojsko, trzeba dziś je uzbroić, jutro — dać im wielkość i sławę“. W „Mannlicherze“ określa „wiersz mój gniewny — broń szybkostrzelna“. W „Moim pogrzebie“ — „słowa me zbroję jak wojsko“ i tak samo w „Ja i wiersze“ — „tępo musztruję te wiersze — na wzór sierżantów“.

Ów żywiołowy, żołnierski liryzm to jedno ze źródeł sprzeczności, których w poezji Broniewskiego jest sporo. Broniewski to bodaj ostatni z pokolenia romantyków polskich. Jest w nim płomień romantycznego buntu dołów społecznych i zarazem mieszczański egotyzm dumnej indywidualności, związującej problematykę powszechnego cierpienia i krzywdy z problematyką ściśle osobistą. Stąd, w tym samym zbiorku, obok wierszy tak nabrzmiałych majestatycznym rytmem zbiorowych uniesień, jak „Do przyjaciół-poetów“, „Twarde ręce“ — są inne, na poły dekadenckie, pełne wewnętrznego rozdarcia jak „Noc“, „Bar pod zdechłym psem“ lub przepojone rozpaczliwą tęsknotą emigracyjno-wojenne wiersze palestyńskie (w zbiorku „Drzewo rozpaczające“). Budowa stroficzna wiersza, muzyczność rytmu, punktowanego ostrą pointą, przypomina niewątpliwie szkołę Skamandra, ale jest w tej poezji równocześnie to, czego niedostaje innym przedstawicielom tej grupy: patetyczny rezonans, czystość słowa o metalicznym, spiżowym dźwięku, siła i godność. Dla Tuwima np. słowo jest elastyczne, wielokształtne i wielobarwne:

Garść słów, żyjątek kolorowych,
Na płask w elipsę rzucam krągle,
Na pręty dźwięków metalowych
W biegu nadziewam je, jak żongler!

A u Broniewskiego:

Słowem nagim i skutym,
jak Prometeusz na skale,
świecimy nieustraszeni
otchłaniom czasów pogardy.

Wiersze wojenne Broniewskiego (wszystkie z tomiku „Drzewo rozpaczające“ i większość zawartych w zbiorku „Bagnet na broń“) wyzwalają raczej tę drugą stronę romantyzmu poety, romantyzmu wewnętrznego, osobistego. Klęska wrześniowa staje się także źródłem osobistej tragedii poety. Świat, przeciw któremu się buntował i walczył, był jego własnym światem, z którego wydarła go zła siła i rzuciła na obczyznę. Trudno znaleźć w poezji polskiej — której gorzki chleb tułactwa i pielgrzymstwa nigdy nie był obcy — bardziej przejmujący i bezpośredni wyraz tęsknoty i miłości oj-

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA TRZCINCE SUCHEJ...

Na trzcineczce suchutkiej, kruchej jak wosk,
powiesiłam kółeczko, mój własny los.
Latają siwe wróble,
los mój chwiejący się skubią.
Ziarenka czyste, puszyste, szkliste
krążą tam wieczyście, koliście,
i rosną na wiosnę dokoła jagody,
a jesienią opadają liście...
...Na trzcineczce suchutkiej — okrągły pierścionek,
nie cięższy niż jagoda, nie większy niż dzwonek.

MARIA CZERKAWSKA

PIERWSZY WIERSZ

Umknęli ćwierkiem wróbli. Wiersza nie słuchali.
Kwietniowej łąki zajęli się kartą.
Samotnie skręcił w sad. Do małej sali
chyłkiem przemykał się wzgardzony autor.

Olcha już stała. Siedziały przylaszczki.
Kurtynę słońca odsunięto wszerz.
Wzruszony, nie czekając na oklaski,
odczytał swój pierwszy wiersz.

Dał w żal zamienił. Zmurszałe patyczki
rozkruszał w palcach, rzucał w toń potoku.
Zatknął rękopis za pasek spódniczki
i odszedł. Sala milczała.

---

nę spojrzenie swoich wąsko i głęboko osadzonych oczu.

— Zdaje mi się, że nic nie mówiłem o dużo czy niedużo — odparł chłodno. — Po prostu spóźniliście się. To wystarczy.

Janusz Kotowicz nie usiłował nawet ukryć ironicznego półuśmiechu. Wyciągnął z flanelowych spodni złotą papierośnicę i zapalił papierosa.

— Mógłbyś poczęstować, świnio! — odezwał się Felek.

Kotowicz podsunął papierośnicę.

— Proszę cię bardzo...

Alek także wziął. Marcin nie palił. Jurek Szretter odmówił.

— Nowy nabytek? — obejrzał Felek papierośnicę.

— Podoba ci się?

Felek przymrużył oczy.

— Za fajna na mój gust.

— Też się znasz!

— Siadajcie — przerwał im Szretter.— I przypominam, że to nie jest zebranie towarzyskie ani kawiarnia.

— Szkoda! — mruknął Janusz, lecz tak cicho, że dosłyszał go tylko najbliżej stojący Felek.

W milczeniu zajęli miejsca na kamieniach.

— Cholera, jakie twarde! — skrzywił sie Felek i nachylił się do Janusza.— Uważaj, żebyś sobie dupy nie odmroził...

Marcin ze swoją mizerną, bladą twarzą, w kusej i podniszczonej marynarce, wyglądał na zmarzniętego. Zacierał nerwowo dłonie. Przez chwilę panowała cisza. Te mury, ten półmrok pełen ruchliwych cieni na murach i sklepieniu, te kamienie pokryte lekką pleśną — ileż było w tym wspomnień!

Alek nie wytrzymał.

— Jurek, pamiętasz Wysokiego Sokoła?

Szretter, który kiedyś to właśnie nosił przezwisko, zmarszczył brwi.

— Może innym razem pomówimy o tych dzieciństwach?

— Bawiliśmy się fajnie, nie można powiedzieć! — wtrącił Felek.

Szretter milczał. Jedyny z obecnych nie usiadł i dalej stał z nogą opartą o kamień, podpierając pięścią brodę. Chybotliwy płomyk świecy oświetlał jego suchą, pociągłą twarz, cień całej sylwetki, wyogromniony i w ramionach przełamany, rzucając na mur z tyłu i na sklepienie w górze. Cisza tutaj była tak pusta i zamknięta, jaka się zdarza tylko pod ziemią. Gdzieś bardzo daleko i także jakby pod ziemią przetoczył się głuchy odgłos grzmotu.

— Burza — szepnął Marcin.

Znowu zagrzmiało.

— Cholera! — mruknął Felek. — Zupełnie, jakby z armat walili, nie?

Wszyscy poczęli nasłuchiwać. Wtem Szretter wyprostował się.

— Słuchajcie, chłopcy — zaczął swoim jasnym, lecz tym razem nieco serdeczniejszym i cieplejszym głosem — chciałbym, żebyśmy uniknęli niepotrzebnych nieporozumień...

— Słusznie! — stwierdził Felek.

Jerzy puścił tę uwagę mimo uszu.

— Znamy się kupę lat, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy pętakami. Jesteśmy starymi kompanami, nie? W tej chwili jednak ja jestem waszym dowódcą. Ja rozkazuję, a wy rozkazy wypełniacie. Jesteśmy pierwszą piątką naszej organizacji. Sami ją założyliśmy i będzie taką, jaką my ją uczynimy. Rozumiecie więc, o co mi chodzi? To nie jest zabawa przyjaciół.

Felek splunął przez zęby tytoniem.

— W porządku, jedź dalej!

— Nie chciałbym więcej do tych spraw wracać. Ale to tylko od was zależy. Ja w każdym razie wiem, co mam czynić.

Felek poruszył się na kamieniu i rzucił w stronę Jerzego skośne spojrzenie. Nic jednak tym razem nie powiedział.

— A teraz — ciągnął dalej Szretter— przejdźmy do spraw właściwych. Otrzymaliście wczoraj rozkaz, pierwszy mój rozkaz podkreślam, aby każdy z was przyniósł dzisiaj wieczorem pięć tysięcy. Mam nadzieję, że rozkaz został wykonany. Ale to mało.

— Jeszcze mało? — zaniepokoił się Felek.

— Poczekaj. Nie o to chodzi. Chcę wiedzieć, skąd ma każdy te pieniądze.

Alek poczerwieniał i pochylił głowę, żeby ukryć rumieniec.

— Zaczynam od siebie — powiedział Szretter.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze i rzucił je na kamień, o który się opierał.

— Pięć tysięcy. Jest to część oszczędności przeznaczonych na kupienie motocyklu. Dokładnie trzy czwarte całej sumy.

I już się tym nie interesując, zwrócił się w stronę najbliżej siedzącego Kotowicza.

— Janusz?

Ten ze znudzoną miną sięgnął po pieniądze, wydobył większą ich ilość i szybko odliczył kilka banknotów.

— Pięć kawałków? Żadnych tajemnic. Forsa tak zwana własna, uczciwie zarobiona na walucie. Wiecie zresztą sami.

— W porządku — stwierdził Szretter.

I zwrócił się do następnego. Był nim Felek Szymański.

— A ty?

Bez słowa położył pieniądze na kamieniu.

— Skąd je wziąłeś?

Felek nachmurzył się.

— O rany, co za piła! — burknął opryskliwie. — Spuściłem zegarek, no! Jest o czym mówić...

Szretter milczał chwilę.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Następny! Alek?

Alek, czując, że jest czerwony aż po włosy, niezdarnie wyjął pieniądze i schyliwszy się, położył obok poprzednich.

— Skąd masz? — spytał Szretter tonem specjalnie oschłym, ponieważ Kosseckiego lubił najwięcej ze wszystkich.

Alek całkiem się zmieszał.

— Miałem trochę swoich...

— Ile?

— Półtora.

— A reszta?

Milczał.

— Skąd wziąłeś resztę?

Trudno. Przełamał w sobie opór.

— Ukradłem.

Szymański i Kotowicz poruszyli się z nagłym ożywieniem. Felek gwizdnął nawet przeciągle. Natomiast Alek doznał ogromnej ulgi.

— Komu ukradłeś? — badał dalej Szretter.

Odpowiedział już z zupełnym spokojem:

— Matce.

Przeszło! I jak lekko. Czuł przez skórę, że nikt go nie potępia. Przeciwnie.

— W porządku — stwierdził swoje Jurek Szretter. — Marcin?

Marcin siedział nieco na uboczu, zamyślony, z dłońmi splecionymi pomiędzy kolanami. Na dźwięk swego imienia podniósł głowę i spokojnie spojrzał na Szrettera zamyślonymi oczami. Po twarzy Jerzego przesunął się cień.

— Twoje pieniądze?

— Nie mam — odparł półgłosem.

Janusz Kotowicz zrobił ruch, jakby się chciał podnieść i coś powiedzieć, lecz Felek przytrzymał go.

— Daj spokój — szepnął — twoja rzecz?

Wiedzieli wszyscy, że Marcin był w biedzie, zarabiał lekcjami i utrzymywał matkę i młodszą siostrę. Ale Szretter nie uznał sprawy za zakończoną.

— Rozkaz był wyraźny, prawda? I nie wykonałeś go.

Nie odpowiedział.

— Dlaczego?

Marcinowi drgnęły lekko usta.

— Sam wiesz dlaczego. Gdybym miał pięć tysięcy, mógłbym kupić siostrze buty...

Janusz Kotowicz nie wytrzymał i poderwał się.

— To twoja sprawa! Co nas tutaj twoja siostra obchodzi?

Marcin zwrócił się w jego stronę.

— Ale mnie obchodzi. Zresztą nie obawiaj się — dodał z akcentem goryczy — nie kupiłem siostrze butów. Nie mam pięciu tysięcy.

— To trzeba było ukraść jak Kossecki.

— Spokój, chłopcy! — odezwał się Szretter. — To nie twoja sprawa, Janusz. Ja tu jestem od zwracania uwag.

Marcin podniósł się tymczasem i stanął na wprost Szrettera. Był bardzo blady, ręce mu się trzęsły.

— Przepraszam cię — powiedział z trudem zapanowując nad krótkim oddechem — zanim mi zwrócisz uwagę, pozwolisz powiedzieć kilka słów?

(c.d.n.)

czyzny niż te strofy wygnańca, któremu poprzez kolorowe widoki egzotycznych krajów jawi się ustawicznie cień ukochanej Warszawy, ojczystych pól mazowieckich, polskich polnych drzew. Siłą tej poezji jest jej **materialność**, nagi zarys konkretu, który uderza niemal prozaiczną, przedmiotową surowością, aby tym brutalniej szarpnąć nią za serce. Wspominając „Żonę", umiejscawia poeta natychmiast ściśle i rzeczowo swoje wspomnienie:

Czarnieckiego 80,
parter z ogródkiem.

albo

Siedzisz w kuchni, liczysz kartofle,
przy tobie brat, starszy;
rachunek w sklepiku, podarte pantofle:
nie starczy...

Tak samo w „Damaszku":

...wspominam, jak mojej najdroższej
w Alejach Ujazdowskich
kupowałem za pięćdziesiąt groszy
pierwsze pierwiosnki.

Mimo prostoty wyrazu jest w nim miejsce i na klasyczną godność dostojnego, rzeźbionego heksametru i na romantyczną stylizację, w której poezja jest zawsze Pieśnią, a tragiczny Wrzesień z kalendarzowego i historycznego pojęcia przemienia się nieomal w symbol — i trochę secesyjną atmosferę groteski, w której „biją zegary, pieją koguty" i zjawia się „w kusym fraczku Cagliostro — i E. T. A. Hoffmann z Gdańska" — i modernistyczno-impresjonistyczne igraszki z zielenią („Zielony wiersz", „Zielony pagórek", „Szczęście"). Lecz zawsze u źródła takiej czy innej wizji jest bardzo istotna prawda poetycka: żywe, czyste słowo, które posiada taką pełnię wewnętrznej treści, tak idealnie szlachetny kontur, że potrafi wzruszyć nawet jako **słowo izolowane.** Broniewski potrafi ten sam zespół przedstawień wyobrażeniowych osiągnąć za pomocą **słów oderwanych.** Dzieje się to przede wszystkim dzięki szczególnemu przygotowaniu przez poetę nastrojów, polegającemu na uprzątnięciu wszystkich ubocznych rozwinięć głównej



rys. T. Konwicki

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

linii motywacyjnej wiersza, na prostym, celnym, energicznym dążeniu do ośrodka wzruszenia, w którym tkwi właśnie i wybucha owo oderwane słowo, jak pocisk.

Wspominany już wiersz „Bagnet na broń" rozpoczyna się ostrożnym, skradającym się, trochę leniwym, trochę obojętnym krokiem rytmu

Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz — Polskę,

aby potem — skracając i wybijając coraz szybciej łoskot sylab — wystrzelić z nagła krótkimi eksplozjami słów

Stań u drzwi.
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

i potem jeszcze

okrzyk i rozkaz:
Bagnet na broń!
Bagnet na broń!

Druga przyczyna tej siły działania słowa oderwanego wymieniona była na wstępie. Jest nią związanie owego słowa ze skojarzeniami wprawdzie pozapoetyckimi, ale dla atmosfery i gruntu społecznego wiersza tak istotnymi, że stającymi się już środkiem techniki poetyckiej. I dlatego, gdy Broniewski wyrzuca ze siebie swój „Krzyk ostateczny", głosząc:

Lecz gdy dojmie mnie pościg odmętu
głodem, ogniem, powietrzem i wojna,
jak butelkę z tonącego okrętu
rzucę krzyk mój ostateczny: wolność!

to ostateczne słowo: wolność, koronujące poprzednie oschłe wyliczenie pojęć apokaliptycznych — posiada sens, który z płaszczyzny hasła politycznego przenosi je w świat artystycznego przeżycia.

Dzięki męskiej sile wywoływania czystego wzruszenia z najbardziej surowego materiału słownego, jak ognia krzesanego z kamienia — dzieło Władysława Broniewskiego jest i dzisiaj jednym z najżywiej bijących źródeł poezji polskiej.

Henryk Vogler

Potrzeby i postulaty plastyków

W pierwszych dniach lutego odbył się w Krakowie Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Związek ten liczy przeszło tysiąc osiemset członków, zorganizowanych w dziewięciu związkach okręgowych i siedemnastu oddziałach. Obrady zasługują na głębszą uwagę, gdyż poza zwykłym sprawozdaniem i sprawami organizacyjnymi poruszano też sprawę sytuacji plastyków polskich, która jest wręcz katastrofalna. Nie ma odbiorców na polską produkcję artystyczną. Dawny mecenat sztuki przeżył się w obecnych warunkach społecznych, a nowa rzeczywistość nie stworzyła jeszcze dla plastyki należytych warunków rozwoju. Nie ma dotąd galerii współczesnego malarstwa, muzea zaś są zaabsorbowane reorganizacją i usuwaniem szkód, spowodowanych przez okupację i wojnę.

Prócz pewnej liczby artystów zatrudnionych w szkolnictwie artystycznym wyższym i średnim, reszta pozostałych plastyków nie może się utrzymać z pracy zarobkowej w swoim zawodzie. Nie tylko dla malarzy i rzeźbiarzy, którzy poza nielicznymi wyjątkami nie znajdują odbiorców na swe dzieła — ale nawet dla tzw. użytkowców, wytwarzających sprzęty użytkowe o wartości artystycznej (meblarstwo, tkaniny, metaloplastyka, dekoracje wnętrz), nie znaleziono jeszcze rozwiązania sytuacji. A nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że konieczność stworzenia odpowiednich warunków rozwoju dla artystów-plastyków jest nie tylko ich prywatną sprawą, jest również sprawą wielkiej wagi dla naszego życia kulturalnego. Dlatego nie należy wstydliwie ukrywać ciężkiego położenia plastyków, które słusznie wysunięto na czoło jako punkt główny Zjazdu Delegatów.

Zebrani, przekonani o słuszności i znaczeniu sprawy, sprecyzowali swe żądania i uchwalili wiele rezolucji zmierzających do polepszenia doli plastyków. Oto najważniejsze z nich:

Plastykom o wiele bardziej niż innym artystom zależy na utrzymaniu Ministerstwa Kultury i Sztuki, żadna bowiem gałąź sztuki nie wymaga tak nieustannej i skutecznej pomocy, jak właśnie plastyka (szkolnictwo artystyczne, instytucje wystawowe, galerie sztuki nowoczesnej itp.).

Zjazd Delegatów popiera koncepcję utworzenia mecenatu ludowego według projektu znanego artysty i krytyka sztuki Konrada Winklera. Pomysł ten — znany z wielu artykułów — śmiały i nowoczesny, uwzględnia nowe stosunki społeczne, obowiązek podtrzymywania sztuki przerzucając w dużej mierze na organizacje zawodowe.

Nowe możliwości dla plastyki, dotychczas nie wyzyskane, może również przynieść włączenie jej w odbudowę kraju i odpowiednio ujęte ustawodawstwo. W kosztorysach mającej się dokonać odbudowy należałoby zatem określić ustawowo procent, jaki miałby przypaść na wyposażenie plastyczne.

Z innych omawianych spraw ważne jest zagadnienie opanowania chaosu wystawowego i to zarówno w kraju jak i za granicą. Dotychczas Polska wzięła udział jedynie w wystawie UNESCO w Paryżu, gdy np. Czesi doceniają znaczenie propagandowe wystaw sztuki. Dlatego też Zjazd Plastyków wysunął żądanie restytucji Instytutu Propagandy Sztuki, który by nie tylko podjął przerwaną przez wojnę działalność, ale przejął też agendy dawnego Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych, tzn. prowadził za granicą celową propagandę artystyczną.

Następnie domagano się urządzenia retrospektywnej wystawy malarstwa polskiego, która by zobrazowała jego rozwój od końca XVIII w. do czasów dzisiejszych. Tego typu wystawy mają za granicą niesłychane znaczenie, dość wskazać na francuską wystawę arcydzieł w r. 1937. Taką wystawę na szeroką skalę urządzono u nas jeszcze w r. 1894 we Lwowie pt. „Sto lat dziejów malarstwa polskiego". Po pięćdziesięciu latach z górą dzisiejsze pokolenie chciałoby zobaczyć dzieła artystów polskich, zwłaszcza że po latach okupacji muzea nie mogły jeszcze pokazać wszystkich swoich zasobów. Z tym wiąże się drugi, nie mniej ważny postulat, konieczność utworzenia w większych środowiskach współczesnej galerii malarstwa polskiego i apel do muzealnictwa, by część swego budżetu wydatkowało na zakupy dzieł artystów żyjących.

Słuszności tego postulatu chyba nikt nie zakwestionuje. Za granicą we wszystkich ważnych ośrodkach artystycznych są tego rodzaju galerie, w periodykach artystycznych czyta się wciąż o zakupach nowych dzieł do galerii. W Polsce przed wojną utworzono w Muzeum Narodowym w Krakowie oddział im. Stanisława Wyspiańskiego, który miał służyć sprawie nowoczesnej sztuki polskiej. Zebrano tam nawet kilkadziesiąt dzieł zakupionych bądź ofiarowanych przez artystów. Niestety, zanim Muzeum Narodowe przystąpi do urządzenia galerii, musi pierw pomyśleć o odnowieniu zniszczonego przez Niemców nowego gmachu, który objęło niedawno. Zakupy zaś nowych dzieł sztuki w ramach istniejących budżetów są niestety utrudnione, zwłaszcza że w chwili obecnej reorganizacja Muzeum i urządzenie nowych sal jest jedyną i główną troską.

Domagano się również zreformowania Funduszu Kultury Narodowej i przeglądu listy plastyków subwencjonowanych przez państwo, ustanowienia jednorazowej, znacznej dotacji dla tych rzeźbiarzy, którzy dokonują większych prac, oraz ustanowienia państwowej nagrody plastycznej.

Podkreślono też konieczność studiów zagranicznych i związanych z tym stypendiów na wyjazd dla artystów plastyków i historyków sztuki.

Za ważne uznano również nawiązanie kontaktu z najszerszymi masami odbiorców w celu demokratyzacji sztuki. Przy oddziałach Związku Plastyków powinny zatem powstać specjalne komisje ze współudziałem członków innych związków zawodowych i partii politycznych.

Poruszone na Zjeździe zagadnienia wskazują, że plastycy należycie zrozumieli swą rolę w tworzeniu nowego życia kulturalnego. Stanęli w pierwszym szeregu budowniczych nowej rzeczywistości. Jeszcze działa niemieckie grzmiały pod murami Krakowa, gdy przybył z Lublina Stanisław Teisseyre, prezes Związku Zawodowego Artystów Plastyków, z czynną pomocą dla kolegów krakowskich. Plastycy już w pierwszych dniach przystąpili do pracy nad zabezpieczeniem dzieł sztuki.

W czasach pokoju rola i znaczenie sztuki są ogromne, trzeba jednak dla niej znaleźć odpowiednie warunki rozwoju.

Helena Blumówna

Nawrót do Żeromskiego*)

Z wielkiej czwórki prozaików polskich — Reymont, Prus, Sienkiewicz i Żeromski — najmniejsze zainteresowanie u krytyków w sensie popularyzatorskim wzbudził Żeromski, najsłabszą też zdobył poczytność w społeczeństwie polskim ze względu na trudności, jakie nastręcza lektura jego dzieł.

Można śmiało powiedzieć, że poza kołami inteligenckimi, które, najczęściej ze względów snobistycznych, zadawały sobie trud przetrawienia całej twórczości Żeromskiego, szerszy ogół jakby świadomie omijał tę niełatwą, lecz głęboką lekturę, zadowalając się przeczytaniem na ławie szkolnej „Syzyfowych prac" — lektury obowiązkowej, a potem „Dziejów grzechu" — dzieła, będącego na indeksie kościelnym...

Niewielkich rozmiarów, bo 45-stronicowa rozprawa A. Derugi, nie mająca pretensji literackich, świadczy o wszechstronnej znajomości twórczości Żeromskiego. W zwartym skrócie zwraca autor uwagę społeczeństwa na te wszystkie problemy, które, szczególnie w dobie obecnych przemian politycznych w Polsce, przydają niezwykłej aktualności dziełom autora „Dumy o hetmanie". Najważniejsze z tych problemów to: polski charakter narodowy, kierunek polskiej ekspansji na zachód, możność szerokiego dostępu do morza oraz stosunek do Niemców, polegający na konieczności unicestwienia germańskiego „Drang nach Osten".

Żeromski, jak nikt inny z pisarzy polskich, przejrzał podłą i zachłanną duszę germańską i poglądom swoim dawał wyraz w całej twórczości, poczynając od „Popiołów" a kończąc na ostatnich artykułach publicystycznych, pisanych tuż przed śmiercią.

Żądał on definitywnego załatwienia sprawy Śląska, domagał się oparcia granic Polski o Odrę, był rewindykatorem słowiańskości plemion nadłabskich. Biografowie wiedzą najlepiej, ile dzieł i źródeł Żeromski przewertował, zanim skrystalizował ostatecznie swój pogląd na te sprawy. Toteż wypowiedzi jego mają często wagę historycznego dokumentu.

Zainteresowanie Żeromskiego sprawami polskiego dostępu do morza jest powszechnie znane. Do historii literatury polskiej wszedł on jako pierwszy wielki marynista, autor przepięknych dzieł: „Wiatr od morza" i „Międzymorze". Jest zwolennikiem rozbudowy silnych portów polskich na Bałtyku i odebrania Niemcom Gdańska. Lloyda George'a, który wyrządził nam niepowetowaną szkodę, nazywa „czwartym rozbiorcą Polski".

Sześć ostatnich lat życia poświęcił Żeromski sprawie rewindykacji na rzecz Polski ziem, leżących na wschód od dolnego biegu Wisły, tj. Powiśla, Warmii i Mazur z miastami Malbork, Kwidzyń, Sztum, Olsztyn, Iława, Szczytno i inne.

Rozprawa A. Derugi przypomina mało znany szerszemu ogółowi fakt, że przed plebiscytem w roku 1920 odbył Żeromski wraz z Kasprowiczem wycieczkę na Warmię, interesując się przebiegiem akcji przedplebiscytowej. W reportażu z tej wycieczki niezbyt pochlebną opinię wydaje o Anglii: „Zawzięty, zimny i ironiczny przedstawiciel Anglii nie jest wcale przyjacielem naszej sprawy". W ostrych słowach piętnuje wyprawę kijowską, przedsiębraną w czasie, gdy granice Polski na zachodzie i północy wisiały w powietrzu. Godzi się przytoczyć wyjątek z tego ciekawego reportażu: „My krwią bohaterską naszych rycerzy zlewamy przyczółki mostowe na Dnieprze i zdobywamy rzekę Soszę. W pogardzie ma Polskę cały świat robotniczy Zachodu. Wdaliśmy się w siepaniny z Moskwą, zaniedbując zachód i morze. Na północ i zachód macha się ręką". ...„Biada nam po tysiąckroć — woła Żeromski — jeśli teraz opuścimy Mazurów!".

Rozprawa A. Derugi jest właściwie wydrukowanym odczytem. Stąd wada, jaką często popełniają prelegenci, drukujący swe referaty. Brak w niej mianowicie zatytułowanych rozdziałów, które by dla przejrzystości i wygody czytelnika systematyzowały poruszane problemy.

Jest to jednak pierwsza w literaturze krytycznej próba wyświetlenia przyczyn, dla których Żeromski potępiał tradycyjne kierunki polskiej ekspansji narodowej. Winna ona pobudzić naszych krytyków do dalszych dyskusji, które niewątpliwie spopularyzowałyby głębokie i aktualne myśli wielkiego pisarza.

Niektóre z tych myśli proszą się o rozpowszechnienie, jako memento dla wielu zaczadzonych czy też *zamglonych* polityków dzisiejszej Polski, jak np. ta świetna charakterystyka pewnego wyspiarskiego narodu, który i nam nie pozwala swobodnie oddychać. W zakończeniu „Wiatru od morza" czytamy:

„Tam jeszcze czczą dumę ze siebie jako bożyszcze, a na deptaniu wszystkich innych, białych i żółtych, czarnych i śniadych zasadzają i gruntują swoją własną, na wyspie wyrobioną sprawiedliwość... Tam jeszcze wygłaszają słowo — sprawiedliwość — z flegmą dusząc obiekt za gardło".

Zbigniew Przygórski

*) Dr *Aleksy Deruga*. Aktualność Żeromskiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 45 i 3 nl.

Wśród wydawnictw

Prof. dr Józef Reiss. Elementarz muzyczny. Kraków, T. Gieszczykiewicz, 1944; str. 180. — Mała historia muzyki dla szkół muzycznych, samouków i radiosłuchaczy. Kraków, T. Gieszczykiewicz, 1946; str. 203 i 5 nl. — Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska. Szkic historycznego rozwoju na tle przeobrażeń społecznych z licznymi przykładami muzycznymi i z 50 ilustracjami. Kraków, 1946; str. 264.

Prof. Józef Reiss przeznaczył swe książki nie dla muzykologów, ale głównie dla uczniów, samouków i radiosłuchaczy, słowem dla amatorów muzyki. O użyteczności ich ma więc prawo pisać również miłośnik muzyki, któremu wymienione podręczniki przychodzą z pomocą w zdobyciu podstawowych wiadomości, jakie wyszukuje się zazwyczaj po rozmaitych encyklopediach, często nawet bezskutecznie.

Prof. Reiss wydał „Elementarz muzyczny" jeszcze w 1944 r., z konieczności pod przybranym nazwiskiem — dr Jan Dembina. Na pytanie: „Co to jest muzyka?" odpowiada w 75 krótkich rozdziałkach. Od elementarnych wiadomości o harmonii, kontrapunkcie i formach muzycznych, od opisu instrumentów muzycznych, przechodzi do podstawowych zagadnień z estetyki muzyki, by w końcu wyjaśnić, na czym polega muzykalność i czym jest muzyka. Informacje są jasne, zwięzłe i dostatecznie wyczerpujące. Przejrzysty układ, szczegółowy indeks i słownik wyrazów używanych w muzyce, ułatwiają posługiwanie się „Elementarzem".

„Mała historia muzyki" rozwija wiadomości z „Elementarza" na tle dziejów powszechnych, wyjaśniając dzieje muzyki, jako jednego z objawów kultury duchowej. Prof. **Reiss** uwydatnia ludowe pochodzenie muzyki i jej ścisłą łączność z życiem zbiorowym. W dziesięciu rozdziałach czytamy o muzyce starożytnego Wschodu i Hellady, o muzyce średniowiecza i renesansu, o epoce dramatycznej monodii, nowym stylu harmonicznym, klasykach, o romantyzmie w muzyce, Chopinie i neoromantykach, wreszcie o kierunkach narodowych w muzyce europejskiej i o muzyce nowoczesnej.

Podręcznik prof. Reissa jest dziś bodaj że jedynym dostępnym polskim zarysem dziejów muzyki, a dzięki barwności wykładu i rzetelności informacji, zarysem pożytecznym i poczytnym. Z lektury podręcznika widać, że autor jest entuzjastą muzyki, zwłaszcza muzyki polskiej, i ten zapał propagatora szybko udziela się czytelnikom, choć bardziej krytyczny czytelnik żżyma się na nieco egzaltowany styl wykładu, w którym aż się roi od superlatywów.

Dotychczasowe podręczniki dziejów muzyki polskiej przynosiły naukowe zarysy, tu spotykamy się z hymnem na cześć piękna naszej muzyki. Autor stara się uzasadnić swój pogląd pokazem historycznego rozwoju muzyki polskiej na tle przeobrażeń społecznych. Mówi tu często rzeczy nowe i ciekawe, np. o polonezie jako reprezentacyjnym tańcu narodowym, o geniuszu Chopina, o zasługach Moniuszki, upomina się też o uczczenie pamięci niesłusznie zlekceważonych muzyków np. Karola Kurpińskiego. Dla najnowszych kierunków w muzyce ma prof. Reiss mniej zrozumienia.

Wszystkie trzy książki wydała starannie księgarnia T. Gieszczykiewicza, wyposażając podręczniki w liczne ilustracje. Nakładem tej księgarni, specjalizującej się w wydawnictwach muzycznych, ma się ukazać niebawem „Podręczna encyklopedia muzyki" pióra prof. Reissa. Zapowiedź druku takiego „Słownika" sygnalizuję ze szczególnym uznaniem. Brak podobnej publikacji był dotychczas poważnym niedostatkiem polskiej literatury muzycznej.

E. Romer i A. Wrzosek. Śląsk. Mapa fizyczna Wrocław, „Książnica-Atlas", 1946.

Ukazała się Mapa fizyczna Śląska o podziałce 1 cm = 10 km. Odbito ją jako pracę Instytutu Kartograficznego im. E. Romera przy Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu w Państwowych Zakładach Graficznych nr 2 we Wrocławiu. Mapa może liczyć, dzięki znacznej ilości dokładnych i wyraźnie podanych informacyj, na dużą pokupność.

Podział administracyjny województwa śląsko-dąbrowskiego wraz ze skorowidzem gmin i gromad, według stanu z dnia 1. I. 1947 r. Katowice, Instytut Śląski, 1947; str. 68.

Podział i skorowidz są objaśnieniami mapy podziału administracyjnego, wydanej osobno. Słowo wstępne do publikacji napisała mgr Maria Suboczowa. Zarówno mapa, jak podział i skorowidz, mają służyć orientacji w rozmieszczeniu jednostek administracyjnych od największych, jakimi są powiaty, do najmniejszych — gromad, i wprowadzeniu w życie ustalonych już nazw na obszarze województwa. Województwo śląsko-dąbrowskie o powierzchni 15 369 km^2 liczy 2 813 748 mieszkańców i podzielone jest na 7 powiatów grodzkich i 22 powiaty ziemskie.

Stefan Papée

W poprzednim 8 (117) numerze „Odrodzenia" z dnia 23 lutego 1947 r.: *Stefan Papée:* Kiedy się ukaże Narodowe Wydanie Dzieł Mickiewicza? Rozmowa z redaktorem naczelnym Leonem Płoszewskim. — *Marian Podkowiński:* Berlin—Stalingrad—Berlin. — *Jan M. Nowak:* Życie w USA. Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia". — *Julian Przyboś:* Ręce za lud walczące. — *Wacław Kubacki:* Notatki poznańskie. — *Jerzy Andrzejewski:* Zaraz po wojnie. Powieść (6). — *Stefan Flukowski:* Jeszcze raz Rydel. — *Stanisław Jerzy Lec:* Zrzut nocny. — *Melchior Wańkowicz:* Artykuł „noworoczny". — *Janina Pregerówna:* Poezja Iwaszkiewicza. — *Stefan Papée:* Wznowienie „Teatru Ludowego". — Kronika ilustrowana. — *Józef Sieradzki:* Wierzenia i przesądy. — *Kjw:* Szkoła krytyków: Jeszcze o ekspresjonizmie. — Z teatrów. *Jaszcz:* Przegląd prasy. — Tydzień bibliograficzny. — Dwie kreacje. — *Wojciech Natanson:* Dzieło dwudziestoletniego poety. — *A. M. Swinarski:* Towar bielski. — *I. A. Szczepański:* Dwie komedie mieszczańskie. — „Pastorałka" Schillera w Bielsku. — 18 ilustracyj. — 12 stron.

Szkoła krytyków

Procent od Mickiewicza

Z ostatniego numeru „Odrodzenia" dowiedzieliśmy się o fakcie tak nieprawdopodobnym, że nie wymyślił go zapewne żaden pisarz, znawca biurokracji, chociaż takich nie brakuje. Teatry w Polsce grają teraz „Rewizora z Petersburga". Co nie znaczy, by ten fakt nie należał do najbardziej chwalebnych postępków św. Biurokracego od Fiskusa.

Ministerstwo Skarbu postanowiło ni mniej ni więcej tylko zarobić na Narodowym Wydaniu Dzieł Mickiewicza. Krajowa Rada Narodowa uchwaliła na potrzeby tego wydania bezzwrotnie wyasygnować 15 milionów złotych, a zapobiegliwy referent zrobił z tego oprocentowaną pożyczkę. Bardzo z niego odważny człowiek. Zupełnie zapomniał, że spekulacja i lichwa nie są objęte uchwaloną przez Sejm ustawą amnestyjną.

Sprawa jest tak zdumiewająca, że w pierwszej chwili skłonny byłem sądzić, iż zaszło jakieś nieporozumienie. Ktoś komuś nie wytłumaczył czegoś dokładnie. Nie wytłumaczył mianowicie, że przyznana przez KRN dotacja nie jest kapitałem do obrotu, który Komitetowi Mickiewiczowskiemu zacznie po uruchomieniu przedsiębiorstwa „odrzucać" grube dochody. Dotacja jest przecież na to przeznaczona, by pokryć różnicę pomiędzy rzeczywistymi kosztami Wydania Narodowego a tymi cenami, po jakich to wydanie musi być sprzedawane, jeśli ma spełnić swoją rolę: dotrzeć do każdych rąk. Wydanie Narodowe musi być sprzedawane niżej nie tylko kosztów kalkulacji księgarskiej, ale nawet kosztów produkcji, w przeciwnym bowiem razie, kosztując kilkaset złotych za tom, przestanie być wydaniem dostępnym dla każdego. I nie dla zarobku, ale po to, by naprawdę zbłądził pod strzechy, duch Adama Mickiewicza ośmielił się zakołatać do furty św. Biurokracego od Fiskusa.

Niestety tylko pięć minut wierzyłem w swoją tezę. Bo pomyślałem, co by się w państwie zaczęło dziać, gdyby dyrektorzy departamentów i referenci Ministerstwa Skarbu postępowali podobnie z każdą uchwałą. Np. uruchamia się długoterminowy i bezprocentowy kredyt na odbudowę wsi. Ale przewidujący referent, na długą w tym wypadku wyprawę, jak o laskę wsparty o kopiowy ołówek, idzie po rozum do głowy i tak sobie po drodze kombinuje:

— Aha, my chłopkom damy pieniądze. Odbudują domy. Jak odbudują domy, sklecą chlewiki. Jak sklecą chlewiki, wyhodują świnie. Jak wyhodują, już po roku sprzedadzą z zarobkiem na targu. A kredyt jest na lat dziesięć. He, he, he, to tych z odbudowy tak mogą nabierać, ale nie nas — i powróciwszy z wycieczki po rozum, referent nakłada — procent od Mickiewicza.

Po dalszych pięciu minutach uświadomiłem sobie, że przecież znam dobrze całą rodzinę tego przewidującego urzędnika. To rodzony brat owego referenta, co rozporządzenie zwalniające pisarzy od podatku dochodowego przysiadł tak dokładnie, że zdaje się nie może aktu odkleić od swych urzędowych spodni. To kuzynek tego referenta z innego ministerstwa, który zaoszczędził dla państwa kilka okrętów z transportami UNRRA, odbierając pisarzom kartki żywnościowe. A jaką ma on liczną rodzinkę po redakcjach i ajencjach prasowych! Czy zauważyliście, by którekolwiek pismo w Polsce, podając fotografię członków nowego rządu, podobiznę ministra kultury i sztuki zamieściło nieco wyżej, a nie na ostatnim miejscu? Przypuszczam, że nawet gdyby powstały tak niezbędne ministerstwa, jak np. Pomyślności Publicznej lub Należytego Koszulkowania Aktów, minister kultury i sztuki i tak zajmowałby ostatnie miejsce w rządowym polonezie.

Bo rodzinę Biurokracego wiele dzieli, lecz jedno łączy: jeszcze od epoki podgolonych sarmackich łbów niezmiennie u nas trwająca i bardzo źle ukrywana niechęć do artystów. Ludzi procederu nie sadzamy do stołu — powiada na temat Mickiewicza hrabia Puttkamer w „Promienistych" Grzybowskiej. Pisarze ciężko przechodzą przez dziennik podawczy, nie trzymają się ich parafy, źle na nich leżą urzędowe koszulki. Rodzina to wyczuwa, nawet u Mickiewicza, i nakłada procent.

W przedłożeniu rządowym zapowiedział premier, że będzie tępił biurokrację. Nikt bardziej od pisarzy nie życzy mu w tym powodzenia. Powinno mu się to udać, bo premier jest młody, a Biurokracy stary.

kjw

O właściwą ocenę filozofii

Z artykułu H. E. Michalskiego „Hałas wokół egzystencjalizmu" („Głos Ludu", 17. II. 1947):

Sartre kładzie główny akcent swej nauki nie na istotę człowieka, ale na samo jego istnienie (po francusku istnienie existence, stąd nazwa nowego kierunku). Istnienie to, traktowane w oderwaniu od wszystkiego, uważa on za pozbawione wewnętrznego sensu, niedorzeczne, bezwładne, niepotrzebne. Istnienie człowieka oznacza przechodzenie z nicości do nicości. Teraźniejszość dla człowieka nie istnieje, jest on zawieszony między przeszłością, która minęła czasowo, trwając w nas nadal, a przyszłością, która jeszcze nie nadeszła, ale już w nas istnieje. Człowiek więc przeżywa swoje życie pod naporem niezrozumiałych dla niego sił. Życie jest stąd całkowicie pozbawione jakiegokolwiek sensu.

Jest w filozofii egzystencjalizmu zarówno fatalizm, jak i nihilizm. Fatalizm w tym znaczeniu, że człowiek nie jest panem swego życia, a nihilizm — że nie istnieją dla niego żadne więzy. Według Sartre'a i jego szkoły człowiek jest bezsilny wobec rzeczywistości, nie może poznać jej zjawisk, uszeregować ich, ani kształtować. Zjawiska są bezwładne i bezsensowne, o jakichś procesach historycznych nie ma mowy. Jest to, jak widzimy, filozofia pesymizmu i destrukcji. Jedyną realnością i właściwą istotą w tak pojętym świecie pozostaje dla człowieka jego własne istnienie. Wszystko, co znajduje się poza nami, jest domysłem, wymysłem, kłamstwem. Nie ma społeczeństwa, nie ma historii, nie ma moralności, nie ma wartości wewnętrznych.

Istota życia sprowadza się więc w ramach egzystencjalizmu do istnienia jednostki, istnienia pozbawionego sensu i zarazem pozbawionego norm. W utworach samego Sartre'a, jak i jego wyznawców, przedstawieni są właśnie osobnicy, którzy idą przez życie niczym niezahamowani, powodują się wyłącznie swoimi instynktami. Z drugiej strony, obok tej nuty użycia życia, dźwięczy w egzystencjalizmie (którego filozofia jest w ogóle mętniacka i pełna niekonsekwencji) nuta marności i beznadziejności życia, nuta pochwały samobójstwa i śmierci.

Poszczególne fragmenty tych poglądów występowały już uprzednio na kartach literatury i filozofii. Dla ścisłości trzeba zresztą dodać, że występowały w okresach nacechowanych rozkładem i u twórców wyraźnie dekadenckich. Sama zresztą nazwa egzystencjalizmu nie jest niczym nowym. Terminem tym lubili się posługiwać na początku tego wieku zwolennicy filozofii idealistycznej spod znaku Berkeleya i Macha. Pewne próby wytwarzania się na tej bazie szerszego światopoglądu pojawiały się już bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej. Dopiero jednak Sartre ujął je w pewien, nie całkiem zresztą ścisły system, tworząc niejako skondensowaną pigułkę tej rozkładowej filozofii, i nadał im formę obiegową w postaci egzystencjalizmu, który jest lansowany jako nowy prąd i który poza Francją zdobywa sobie teren również na drugiej półkuli.

W ub. r. Sartre odbył podróż po Stanach Zjednoczonych, zbierając poklask i laury. Wykładał na uniwersytetach w Yale, Harward, Princeton. Najciekawsze jest to, że wymienione uniwersytety stanowią właściwie twierdze amerykańskiego naukowego konserwatyzmu. Tajemnicę tego niezwykłego powodzenia proroka egzystencjalizmu w amerykańskich kołach konserwatywnych zdradziło pismo „Life", pisząc entuzjastyczną biografię „najmodniejszego filozofa" i zaznaczając, że jest to „główny na froncie ideowym wróg marksizmu". W ślad za tym odsłoniły się nowe, ekonomiczne i społeczno-polityczne strony egzystencjalizmu. Sartre i jego grupa rozpoczęli na łamach swego pisma „Le Temps Moderne" propagandę „amerykanizmu" i „bloku Atlantyckiego". Za sławę trzeba płacić.

Temu, co dotąd o tym „modnym" prądzie pisano w Polsce, brakowało precyzacji stanowiska. Chcemy zatem z naszego punktu widzenia podkreślić, że egzystencjalizm, niezależnie od jego słabości jako ruchu literacko-filozoficznego, jest niebezpieczny jako ideologia. Dlatego występujemy przeciwko tej filozofii, która neguje rozum, neguje wewnętrzne wartości ludzkie, moralność, sens istnienia oraz celowość działania człowieka, istotę społecznych więzów i prawa procesów historii. Egzystencjalizm jest filozofią rozkładu, nihilizmu i pesymizmu, filozofią podrywającą wiarę w wartość człowieka, filozofią szkodliwą.

H. E. Michalski

Paryż, czerwiec 1940

Roger Langeron, przyjaciel Georges Mandela, likwidator konspiracyj faszystowsko-prawicowych w Paryżu za gabinetu Bluma, był prefektem policji paryskiej w chwili wejścia Niemców i nadal w Paryżu pozostał. Usunięty przez Niemców w sierpniu 1940 i przywrócony znów na to stanowisko, aresztowany przez gestapo w styczniu 1941 i usunięty z kolei przez rząd Vichy, Langeron pozostawił notatki z drugiej połowy 1940 roku *). Od chwili wkroczenia Niemców, godzina po godzinie, dzień po dniu notował fakty, wydarzenia i nastroje. Jest to wierny dokument historyczny, nie pozbawiony pewnej lapidarności. Pogarda dla okupanta, wściekłość niemiecka na postawę ulicy paryskiej („gdy jadę konno do lasku bulońskiego, ulicznicy gwiżdżą na mój widok" — skarży się niemiecki komendant miasta), pogarda dla Vichy — to zasadniczy ton notatek. — Nie brak tu wielu świetnych opisów. Np. Niemcy przeprowadzają druty telefoniczne przez dach ambasady amerykańskiej. Bulitt, otoczony personelem staje w oknie z rewolwerem i zapowiada Niemcom, że będzie strzelał do każdego żołnierza niemieckiego, który nie opuści natychmiast ambasady. Albo opis powrotu prochów „Orlątka" i reakcji Paryża. Czy wcześniej jeszcze: telefoniczna rozmowa z Mandelem na temat zmyślonej przez Weyganda wersji, że w Paryżu wybuchła rewolucja komunistyczna. Czy też ostatnia rozmowa z Blumem i Auriolem. Pierwsze zarządzenia antyżydowskie. I ostatnia bez mała notatka: „Zanim umrę administracyjnie, chcę sobie zrobić przynajmniej małą przyjemność, każę aresztować „szefa najwyższego" fracuskiej partii narodowo-socjalistycznej, Chrystiana Message". Langeron trwał na stanowisku z francuskim poczuciem godności i odchodził z francuskim, gorzkim humorem.

gi

*) *Roger Langeron*. Paris juin 40. Paris, 1946 Flammarion.

Epigon... Staśki

Zbigniew Grabowski. Anna. Powieść. Katowice, „Awir", 1946; str. 193 i 1 nl.

Pan Grabowski (autor głośnej w swoim czasie książki „Ciszy lasu i twojej ciszy") mógł napisać po prostu jeszcze jedną bardzo niedobrą powieść. Niestety. Przeczytał „Kochanka lady Chatterley", przeczytał cykl „W poszukiwaniu straconego czasu", „Wstęp do psychoanalizy" i Van de Velde'a — i... postanowił napisać książkę „głęboką". Książkę „psychologiczną". Nie wyszło. Wyszła marna imitacja dobrej literatury. Grabowski chciał powiedzieć „wszystko". Rozpierała go „metafizyczna problematyka miłości", „miłość sama w sobie", „miłość a zmysły", „miłość a kompleks dziecięctwa", „miłość a popęd gatunkowy", „ambicja w miłości..." itd.

Oryginalnie pomyślane. I wyrażone subtelnym językiem człowieka, który zna... świat i kobiety, językiem konesera i wyjadacza. I po trosze — językiem Staśki. Ale Staśki, który stał się Europejczykiem, który wie, że w Anglii nie całuje się kobiet w rękę, a w Kopenhadze naród jeździ na rowerach... I chyba ze względu na ową „światowość" akcja powieści rozgrywa się na terenie „międzynarodowym", przeważnie w Szwajcarii, jedna z bohaterek nazywa się Yvonne (prawie Iwonka), a druga Charlotte; sam bohater wyczynów sportowo-erotycznych nosi wykwintne imię Roger. Dyplomata z zawodu. Rzuca jednak akta dyplomatyczne dla płciowych. Lubi też narty. Miłość przeplata się ze sportem. Sport z rozmyślaniami. Rozmyślania z... Koło się zamyka.

Krótko: Podrabianie. Imitacja. Naśladownictwo. Namiastka.

Otóż właśnie — namiastka: powieść z intelektualnej skórgumy.

Władysław Lech

Na łamach czeskiej prasy

Nie przechodzą już przez Czechy transporty wynędzniałych więźniów politycznych z „K. L.", ni tysiące wyfasowanych przez Niemców „słowiańskich niewolników-arbeiterów". Ale mieszkańcy Pragi kultywują zadzierzgnięte przymierza. W Pradze panuje atmosfera słowiańska. Do pięknych tradycji węzłów braterstwa z czasów pierwszego zjazdu ogólnosłowiańskiego w r. 1848, przybywają nowe, niezatarte sprawy r. 1945. Moskwa daleko — Warszawa zniszczona — Belgrad w twardym trudzie budowy nowych podstaw państwowych — Praga zatem pozostaje jako jedyny ośrodek pracy naukowej, społecznej, organizacyjnej i propagandowej.

Sprawami naukowymi opiekuje się zasłużony Instytut Słowiański (Slovanský Ustav), sprawami popularyzacji — Komitet Słowiański (Slovanský Vybor). Z energią pracuje Slovanský Ustav, znany przed wojną jako ognisko badań słowianoznawczych. W ramach swych sekcji (językowej, literackiej, historycznej, bizantologicznej, bałkańskiej, środkowo-europejskiej, antropologicznej, gospodarczej, kultury i sztuki, wydawniczej) podejmuje prace badawcze i wydawnicze. Profesorowie: B. Havránek, J. Horák, F. Wollman, K. Krejči — redagują czasopismo „Slavia", międzynarodowy organ słowiańskiej filologii. Komisja bizantologii objęła pieczę nad periodykiem „Byzantinoslavica", który profesorowie B. Havránek, N. Okunev i M. Paulov pragną za wszelką cenę zrobić międzynarodowym organem badań historii, filologii i sztuki bizantyńskiej. Projektuje się w tych miesiącach wydanie Rocznika Sprawozdawczego Instytutu Słowiańskiego w Pradze (Ročenka S. U. — 1939—46) za lata 1939—46. Planuje się również opracowanie szeregu wydawnictw ku upamiętnieniu stulecia pierwszego zjazdu słowiańskiego w r. 1848.

Równie aktywnie, jak Slovanský Ustav, pracuje Komitet Słowiański z centralą w Pradze. W jego siedzibie — willi przy ulicy Dykowej 14, w pięknym otoczeniu — mieści się biblioteka, czytelnia, sale przyjęć, kancelarie i redakcje. Komitet w szybkim czasie zmontował na nowo rozmaite organizacje przyjaźni czesko-słowiańskich. Dawne stowarzyszenia, jak „Jednota slovanskych žen" czy „Společnost přatel Lužice", pozostają z Komitetem w ścisłej łączności. Brat-Słowianin, który odwiedza Pragę i zajrzy choć raz do jakiegoś z tych towarzystw przyjaźni — nie ujdzie już ich gorliwej opiece. Telefony, rady, informacje. Choć zmęczony, będzie musiał przestudiować niejedno pismo słowiańskie. Czesi są z nich dumni i pragną znać opinię o nich.

Najlepiej redagowany „Slovanský Přehled" wychodzi od roku, wznowiony po kilkuletniej przerwie, spowodowanej zarządzeniem niemieckim o likwidacji wszelkich pism slawistycznych w protektoracie. Wytykano już niekorzystną zmianę charakteru pisma — organu słowianoznawczego, jakim było przed wojną, na periodyk o pokroju informacyjnym i społecznym. Mimo to „Slovanský Přehled" przewyższa bogactwem informacji i układem materiału nasze „Życie Słowiańskie". Czeski periodyk szczycić się może szczególnie znakomicie prowadzonym działem bibliografii. Zawiera on spis wszelkich publikacji i czasopism, wychodzących w poszczególnych krajach słowiańskich, oraz „slavica" ukazujące się w pozostałych państwach europejskich. Można się stąd dowiedzieć o dość silnym ruchu wydawniczym, związanym z tematyką polską.

„Slovanský Přehled" notuje ogółem 16 książek na tematy polskie, wydanych w krajach europejskich, niesłowiańskich.

Oto cenniejsze pozycje: Sienkiewicz H. „Hania" (Basel, Verein Gute Schriften, 1946); „Ritter der Freiheit. Polnische Novellen" von Prus und Adam Szymański. Übersetzt von E. L. Mazurek und Alfred Loepfe (Luzern, Schweizer Volksbuchgemeinde 1945; Otto Forst de Battaglia, „Jan Sobieski, König von Polen" (Zürich, Verlagsanstalt Benziger, 1946); Cl. A. Mannig, „Soldier of Liberty, Casimir Pulacki" (New York, Philosophical Library, 1946); St. Liberek, „Fraternité d'armes polono-suisse au cours des siècles". Préface du Major P. de Vallière (Rappersvil, Editions Musée Polonais, 1946).

W organie Komitetu Słowiańskiego poświęca się zawsze dużo miejsca sprawom polskim, które na ogół zajmują czwartą część każdego numeru. Znajdujemy je w dziale informacyjnym pisma oraz osobno jako opracowania poszczególnych zagadnień Polski teraźniejszej i dawnej. Ostatni numer (9—10) z 1946 r. przynosi ciekawą rozprawę V. Dreslera: „Motywy społeczne w twórczości H. Sienkiewicza". Autor rozprawy, ograniczając analizę przede wszystkim do powieści Sienkiewicza, stara się uchwycić główne cechy społeczeństwa polskiego czasów sienkiewiczowskich i przedstawić jego przemiany w Polsce dzisiejszej. Z materiału tak dowolnego i fragmentarycznego wnioski otrzymał autor równie ułamkowe i mało trafne. Jednak sam fakt stałego zainteresowania się problematyką polską jest niezbity. „Polonica" spotkamy w różnych pismach: „Naše doba", „Kritický Měsičnik".

Obok polskich żywe są w Pradze zainteresowania łużyckie. Praga nie zapomniała nigdy o słabych braciach, nawet wtedy, gdy my zapomnieliśmy. Tym bardziej dzisiaj, gdy otwierają się nowe możliwości uregulowania problemu łużyckiego, mają Czesi powód przypominać sprawę tego narodu. Spośród licznych organizacyj najpoważniejsze jest Towarzystwo Przyjaciół Łużyc w Pradze. O swoich poczynaniach donosi ono na łamach własnego miesięcznika „Lužickosrbský věstnik" (Praha II, Revolučni 26). Jak z tych enuncjacyj wynika, nie jest dobrze na Łużycach. Alianckie władze okupacyjne dotąd nie wyodrębniły Łużyc administracyjnie. Zarządza tym obszarem Sachsenregierung. Może coś w tym zmieni Konferencja Pokojowa. Dziś — to dla małego narodu sytuacja bez wyjścia. Np. ostatnie wybory na Łużycach sprowadzały się do oddania głosu na takiego czy innego Schumachera — a nie na łużyckich kandydatów. Demokratyczni „nazi" grożą represjami, żądają wpisywania młodzieży do Freie Deutsche Jugend, szykanują nawet łużyckie wydawnictwa. Praga czeska i pod tym względem przyszła Łużyczanom z pomocą. Towarzystwo Przyjaciół Łużyc wydrukowało łużyckie kalendarze, wznowiło zniszczone przez gestapo wydawnictwo biblioteki łużyckiej „Dom i Świat". Wreszcie wskrzesiło w setną rocznicę jego założenia (1846) dawne stowarzyszenie akademickie „Serbovka", które przejęło wydawanie dwutygodnika dla Serbów łużyckich „Naše Noviny". Redaguje Jurij Měrcínek w Pradze (Praha I, Valentinska 3). Wydawane jest z zasiłku Towarzystwa Przyjaciół Łużyc w Rumburk-Varnsdorf.

Obraz czeskiego czasopiśmiennictwa slawistycznego nie byłby pełny, gdyby pominąć ołomuniecki miesięcznik „Svobodna země", dający wiele informacji o życiu narodów słowiańskich, ze szczególnym uwzględnieniem ZSRR. Podobny charakter ma miesięcznik poświęcony sprawom literackim, naukowym i gospodarczym ZSRR: „Bratislava—Moskwa". Pismo wychodzi w Słowacji pod redakcją doc. dr. Milana Pišuta. Z innych periodyków przestał wychodzić dobrze redagowany „Slovanský Svět".

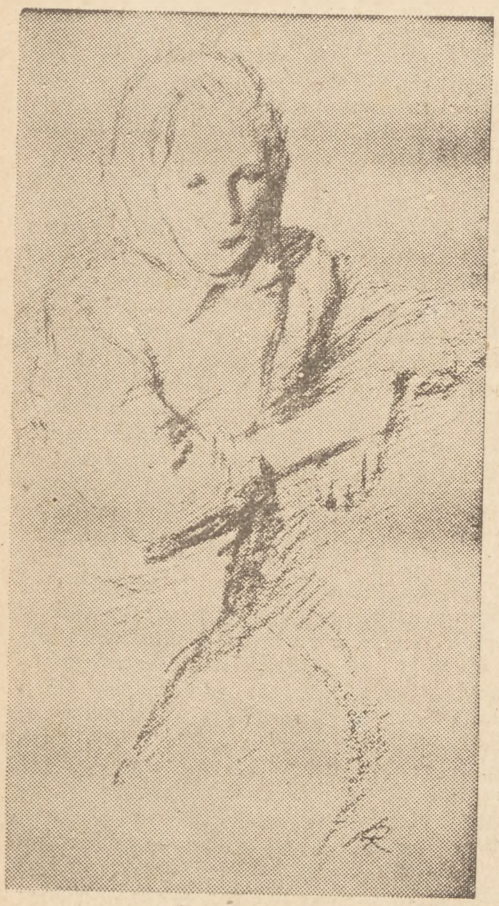
Z bogactwa pism slawistycznych w Czechach moglibyśmy wysnuć dla siebie pewne wnioski. To właśnie dziedzina oddziałów Komitetu Słowiańskiego i jego centrali w Warszawie.

Działalność słowianoznawcza na naszym terenie? Jedyny Instytut Słowiański w Krakowie, który miał podjąć reorganizację dotychczasowego stanu badań slawistycznych w Polsce, a nawet pragnął zmierzyć się z Slovanskym Ustavem — ustał u progu swych poczynań. Instytut przemianowano znowu na Studium Słowiańskie. W ślad za skromniejszą nazwą poszło i zmniejszenie aktywności. Podobno w Warszawie czy nawet Krakowie miał powstać oddzielnie Instytut, jako ośrodek prac o wielkim zasięgu. Od pierwszych projektów minął z górą rok...

Brak wysiłków z naszej strony prowadzi do tego, że w państwach pobratymczych — mimo dużego zainteresowania — do dziś mało wiadomo o nowej Polsce.

Slav

KRONIKA PLASTYKI ŚLĄSKIEJ

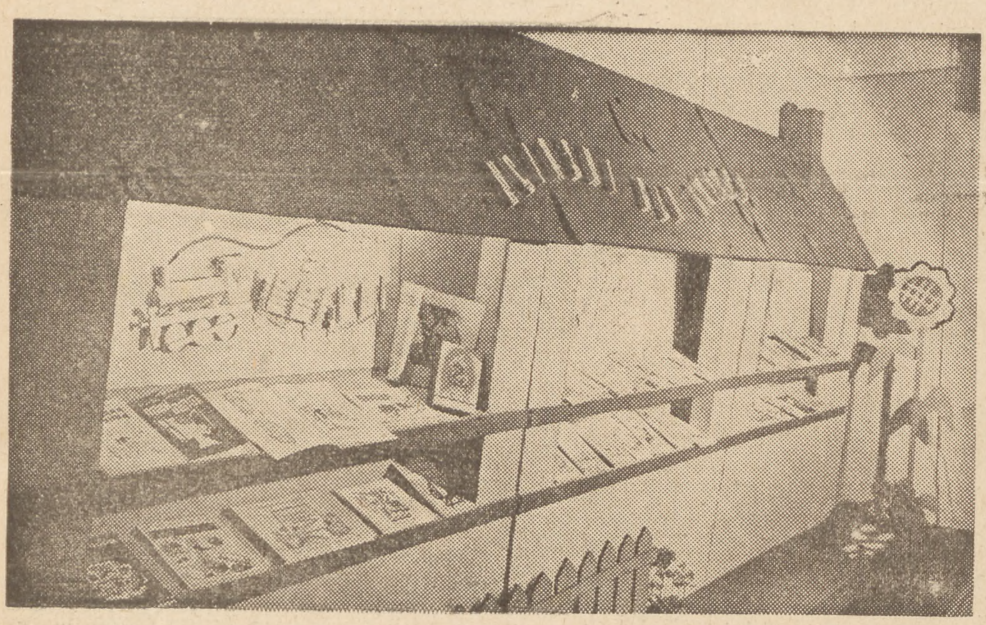








Związek Artystów Plastyków w Katowicach ma od niedawna własny lokal wystawowy, przy ul. Dworcowej 13. Zainaugurował go reprezentacyjną wystawą prac swoich członków, która jeszcze raz udowodniła, że Górny Śląsk zgromadził pokaźną ilość dobrych plastyków i że należy baczną uwagę zwracać na ich twórczość. Zresztą także udział artystów śląskich w krakowskim Salonie Zimowym wykazał ich poziom i bogactwo talentu. Reprodukujemy powyżej kilka prac artystów śląskich: 1) Aleksander Rak: „Portret“ (kredka) — 2) Rafał Pomorski: „Pejzaż“ (olej) — Stanisław Marcinów: „Głowa“ (rzeźba, która uzyskała w roku 1939 Nagrodę Miasta Krakowa) — Edward Piwowarski: „Sancho Pansa“ (rzeźba).





Huta „Pokój“ w Nowym Bytomiu urządza wraz z Centralnym Zarządem Przemysłu Hutniczego i Centralnego Związku Zawodowego Metalowców wędrowną „Wystawę Książki Polskiej“. Pierwszy pokaz tej wystawy odbył się w Nowym Bytomiu, obecnie wystawa znajduje się w Gliwicach, w przyszłości ma objechać wszystkie huty i fabryki metalurgiczne. Oprawę architektoniczną i graficzną opracowali Tabeńska, Gerula i Mroszczak. Na zdjęciu stoisko książek dla dzieci, urządzone w kształcie chatki. Obok ilustracja Józefa Mroszczaka do „Przygód Kaczorka“ Zofii Bronikowskiej.

* * *



Chlubą Górnego Śląska są dwie szkoły artystyczne, zorganizowane przez tamtejszych plastyków i historyków sztuki w Katowicach i Bielsku. Szkołę Sztuk Pięknych w Katowicach prowadzi rzeźbiarz Stanisław Marcinów; niestety szkoła ta nie posiada dotąd odpowiedniego lokalu, poszczególne klasy są porozrzucane w kilku miejscach miasta, co utrudnia pracę wykładowcom i uczniom. Piękny lokal ma natomiast Szkoła Malarstwa, Rzeźby i Grafiki w Bielsku, założona i prowadzona przez historyka sztuki Stanisława Oczkę; mieści się ona mianowicie w kilku obszernych salach zamku Sułkowskich. Reprodukujemy po jednej pracy uczennic szkół w Katowicach i Bielsku: z lewej „Głowa“, rysunek piórkiem Amelii Wieczorkówny (klasa prof. Aleksandra Raka, Katowice); z prawej „Akt“, rysunek ołówkiem Ireny Szwedówny (klasa prof. Jerzego Zitzmanna, Bielsko).

A. M. S.

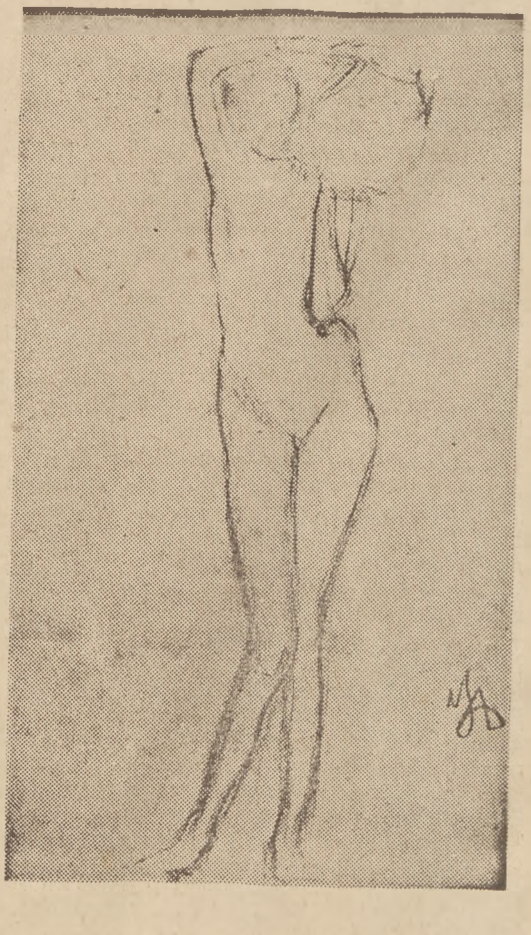


Foto: Kubicki, Katowice — Mroszczak, Katowice — Oczko, Bielsko.

Przeglądając prasę niemiecką

Byłoby może lepiej, gdyby Niemcy mogli pisać swobodnie. Wiedzielibyśmy wtedy, co myślą. Ale i to, co przechodzi przez cenzurę państw okupacyjnych, wystarcza, by sobie wyrobić pojęcie o przemianach — a raczej o braku jakichkolwiek przemian — w psychice niemieckiej. Przed półtora rokiem przeważał w prasie niemieckiej ton strachu, niepewności, pokory. Dziś — nie dostrzega się już prawie poczucia winy.

„O winie niemieckiej i o rozmiarach wypełnionej pokuty można myśleć, co się chce. Jednak wielkiemu, europejskiemu, kulturalnemu narodowi nie można odmówić — przyznanego każdemu kolorowemu szczepowi — prawa głosu, choćby nieoficjalnego“ — pisze w strefie brytyjskiej („Die Welt“ z 16 stycznia 1947) Schlange-Schoningen, niegdyś współpracownik von Papena, za jego kanclerstwa. Pokutę już „wypełniono“, Niemcy są czymś bez porównania lepszym od kolorowych szczepów. A jeśli okupanci tego nie rozumieją — to dodaje się: „a może twarde prawo Starego Testamentu — oko za oko, ząb za ząb — ma rodzić nowe zło“. Wszak naród niemiecki „dzięki swoim pokojowym dziełom w przeszłości i wspaniałym osiągnięciom swego ducha i wiedzy dał dowody, że w pokojową kulturę świata i w jego odbudowę mógłby był wnieść wkład, którego nie da się zaprzeczyć“.

Żąda się dla Niemiec prawa do udziału w odbudowie świata — i to jako samodzielnego i nieskrępowanego czynnika. Wynaleziono już nawet nową „misję dziejową“ Niemiec. Urodzony w polskim Chełmnie (i dlatego tak zapewne naszym granicom wrogi) Kurt Schumacher, niegdyś „kapo“ w Dachau (źle go wspominają jego czescy towarzysze niewoli), dziś wódz niemieckiej socjalistycznej demokracji, pisze o Niemczech jako o „Ost-West-Synthese“. Przywódca Centrum, które przybrało dziś nazwę „Christlich-Demokratische Union“, Jakob Kaiser, widzi wyraz tej syntezy w Berlinie. „Prusy należą do przeszłości“ — stwierdza z żalem, by zaraz dodać z nadzieją, — „ale Berlin żyje“. Mamy więc nową misję dziejową Niemiec — synteza Wschodu i Zachodu — i nową misję pruskiego Berlina w Niemczech — stać się Centrum tej syntezy, stać się środkiem Europy. Nic się nie zmieniło.

Nie zmieniła się także megalomania narodowa. Tenże Kurt Schumacher, wódz tego odłamu socjalizmu niemieckiego, który chce się stać sekcją odnowionej Drugiej Międzynarodówki, powtarza za Hitlerem hasło „narodowego socjalizmu“ niemieckiego: „my chcemy być socjalistami — woła — ale nie według szablonu innych narodów“ („Tagesspiegel“ w strefie amerykańskiej 15. I. 1947), a wybitny ekonomista, usunięty przez Hitlera z katedry, Alfred Weber, nawet nacjonalizację przemysłu ujmuje jako zarządzenie nie tyle uspołeczniające co nacjonalistyczne.

Jeśli się pojawi głos rozsądny — to najczęściej anonimowy. W tymże samym „Tagesspiegel“ (7. I. 47) jakiś rozsądny Niemiec stwierdza: „My Niemcy, poza kilku starymi, mocno wyświechtanymi tezami, które diabelnie są podobne do tezy o Lebensraumie, nie wnosimy do dyskusji światowej nic nowego“. A o politykach nowych Niemiec sądzi: „Mają nadzieję, że przy pomocy nowych tez i metod uda się im urzeczywistnić stare ideały i w tym celu, z podobnym jak u Hitlera brakiem skrupułów, obnoszą wszędzie swój socjalizm“.

Metody są stare i terminologia też pozostała stara. Hitleryzm mówił o totalnym państwie, o totalnej mobilizacji, totalnej wojnie i totalnym zniszczeniu przeciwnika. Przymiotnik „totalny“ pozostał bez zmiany, tylko dziś odnosi się go do kogo innego. To alianci odnieśli „totalne zwycięstwo“, a więc ponoszą „totalną odpowiedzialność“ — oczywiście także za całe zło, jakie Niemcy spotyka, mówi dr Schumacher. Akcent także nie nowy — wszak to samo mówił zawsze Hitler, wskazując na zwycięzców pierwszej wojny światowej i na twórców republiki weimarskiej: oni ponoszą całą odpowiedzialność. Różnica leży tylko w jednym: Hitler — obok aliantów — czynił współwinnymi także niektórych Niemców. Dziś, mówiąc „o totalnej odpowiedzialności“ aliantów — milczy się dyskretnie o niektórych Niemcach, o tych 90-ciu procentach wyborców, które głosowały za Hitlerem po roku 1933. I znowu — jeśli się czasem odezwie głos rozsądku, jest anonimowy: „Zamiast starać się o entuzjastyczne uznanie słuchaczy — mądrzej i bardziej celowo byłoby zmusić ich do rozmyślania, do wspominania niedawnej przeszłości narodu niemieckiego“ — odpowie Schumacherowi ktoś niepodpisany. („Die Neue Zeitung“).

Przeglądając prasę niemiecką ma się wrażenie, że istnieje w Niemczech pewna ilość ludzi rozsądnych, którzy rozumieją winę Niemiec i kosekwencje tej winy, którzy zdają sobie sprawę, jakim głębokim przemianom musiałoby ulec społeczeństwo niemieckie, by stać się społeczeństwem cywilizowanym. Ale przywódcy niemieckiego narodu — to starzy i sprytni gracze polityczni, to nie ludzie świadomi swej odpowiedzialności za losy narodu. Oni wiedzą, że ci rozsądni Niemcy, to skromna mniejszość. Wiedzą, że większość Niemców myśli tak jak ta Niemka, która, widząc powracającego do miasteczka Żyda, powiada: „Patrz, znowu Żyd! Gazety przecież pisały, że wszystkich Żydów spalono, a to już trzeci, który wraca do domu“ („Süddeutsche Zeitung“, Monachium, 20. I. 47). Uważają, że ich najważniejszym zadaniem jest prowadzić taką taktykę polityczną, która by im dała najwięcej mandatów w przyszłym parlamencie niemieckim. Pamiętają, że Hitlerowi udało się uzyskać te głosy przez schlebianie najniższym i najbardziej megalomańskim instynktom narodu niemieckiego. I zamiast ten naród wychować — nadal go deprawują.

Wiele się mówi o odpowiedzialności okupantów za denazyfikację Niemiec. Ale denazyfikacja — to nie tylko pewna ilość nowych lokatorów więzień, zwolnionych z posady urzędników, wywłaszczonych kapitalistów. To przede wszystkim głęboki przełom w psychice niemieckiej. A odpowiedzialność ponosić mogą jedynie przywódcy tego narodu! Przeglądając prasę niemiecką, dochodzi się do przekonania, że hitleryzm chyba niczego ich nie nauczył. Nadal nie mogą zrozumieć, że rywalizując ze skrajnym nacjonalizmem w demagogii — zawsze przegrają, i nadal tę rywalizację uważają za najważniejsze swoje zadanie.

To nie zadaniem zwycięzców było, jest i będzie przekształcenie psychiki niemieckiej. To Niemcy mają przed sobą wielkie zadanie — przekonać świat, że są inni, że odrzucili to wszystko, co czyniło ich barbarzyńcami w środku Europy.

Przemiana nie nastąpiła. Niemcy mogą przegrać jedyną szansę stania się kiedyś równouprawnionym członkiem spólnoty narodów.

P. S. Większość materiału niemieckiego zawdzięczam znakomicie redagowanej „Zachodniej Agencji Prasowej.“

Konstanty Crzybowski

Duńska przyjaciółka Polski

Pisać o książce, którą się zna tylko z tytułu, to rzecz ryzykowna. Warto jednak ryzykować, jeśli idzie o białego kruka, który może nigdy nie dotrze do nas, a zasługuje co najmniej na wdzięczną pamięć. Smutna dla nas jesień roku 1939 znalazła z pewnością mniej lub więcej serdeczny oddźwięk u sprzymierzonych z nami narodów, choćby ze względu na wspólny los: walkę z Niemcami. To samo odnosi się do krajów neutralnych. Przeważna jednak część okazanej nam sympatii znalazła swój wyraz w prasie codzienej i dlatego szybko została zapomniana. Trwalszym natomiast pomnikiem uczciła nas Dania, pod tym względem na pewno nie jedyna, ale tym bardziej godna uznania, że zrobiła to w chwili, gdy propaganda hitlerowska wróżyła jej samej smutną przyszłość. „Wykreślonej“ z karty narodów Polsce poświęciła Dania przeszło półtoraset stron liczącą książkę pt. „Polsk September“, pióra Elsy Moltke.

Życzliwe słowa, przesłane pod naszym adresem, oburzyły Niemców, którzy po pierwszych powodzeniach wojennych rościli sobie pretensje do cenzurowania cudzych uczuć. Padły ostre słowa nagany dla narodów skandynawskich, że za mało poświęcają uwagi swym „rasowym“ pobratymcom na kontynencie, że sukcesy „narodowego socjalizmu“ zamiast entuzjazmu budzą dziwną odrazę północnych Germanów, bo rzekomo mącą ich epikurejską ciszę. Książka Elsy Moltke znalazła się pod ostrym obstrzałem niemieckiej krytyki literackiej. „Deutsche Wissenschaftliche Zeitschrift im Wartheland“ z roku 1940 zamieściła obszerną recenzję naszpikowaną cytatami; jest ona niestety bodaj jedynym w Polsce dokumentem istnienia tej duńskiej książki. Sama książka do nas pewnie nie dotrze, bo wątpić należy, czy przetrwała okupację jutlandzkiego półwyspu.

Pani Moltke zwiedziła Polskę prawdopodobnie tuż przed wybuchem ostatniej wojny i ogłosiła drukiem swe wrażenia. Nie mamy zbytniego szczęścia do zagranicznych gości. Polska przedwojenna nie była krajem zwiedzanym przez turystów, a jeśli ktoś do nas zabłądził, to raczej na specjalne prywatne lub publiczne zaproszenie niż z własnej inicjatywy. Ujemnym tego następstwem było, że gość nie szukał wrażeń na własną rękę, lecz obracał się w zbyt ciasnym kole swych gospodarzy. Nie stykał się więc samodzielnie z wszystkimi warstwami naszego narodu, mimo że gospodarze zazwyczaj nawet obwozili go po naszej ojczyźnie. Tak było prawdopodobnie i z panią Moltke. Recenzent zarzuca jej, że poznała tylko znaczniejsze miasta wraz z Zakopanem, wyższą i średnią inteligencję, ale o chłopie naszym wie jedynie tyle, że jest pobożny. Trudno stwierdzić, ile w tym prawdy. Zastanawia mimo wszystko, że przejrzała nas nienajgorzej: według słów recenzenta oceniła nas jako naród dzielny, miłujący wolność i entuzjastycznie odbudowujący swe państwo po 150-letniej, niezawinionej niewoli. Wadę widzi w krewkim temperamencie polskim. Poza tym podkreśla uprzejmość naszych urzędników.

Sądząc po cytatach, przytoczonych w recenzji, pani Moltke nie zawsze orientowała się w naszych dziejach, podobno nie poznała się też na wielu sprawach polskich. Ale czy to nie było w dużej mierze i winą gospodarzy? Nie umiemy widocznie jeszcze przyjmować obcokrajowców, nie naśladujemy pod tym względem innych narodów europejskich, u których można znaleźć wspaniałych przewodników nawet wśród dziatwy szkolnej.

Największy grzech, zarzucony autorce przez recenzenta, wybaczamy z całego serca. Stała raz po raz przed rzekomymi świadectwami niemieckiej kultury w naszym kraju i nie dostrzegała ich, milczy też o Niemcach żyjących w Polsce. Ku oburzeniu recenzenta pani Moltke wyznaje: „Te budowle mają mimo południowych wpływów swoiste polskie piętno; odnajdujemy je również w nowych budynkach reprezentacyjnych, które dla przyszłych pokoleń Polski będą świadectwem promieniującej energii“.

Parę tych cytatów, wziętych z drugiej ręki, musi starczyć do wyrobienia sobie ogólnego poglądu na książkę, duńskiej przyjaciółki. Wdzięczni jej jesteśmy za serce okazywane w chwili, gdy chciano nas wykreślić z karty narodów.

Pani Moltke, stwierdza jej recenzent z żalem, wyświadczyła złą przysługę niemiecko-duńskiemu porozumieniu. Sąd Niemca o książce pani Moltke jest równie znamienny jak sama książka.

Jan Berger

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

NAUKI PRZYRODNICZE

Świat, życie, człowiek. Obraz syntetyczny współczesnej wiedzy przyrodniczej. Praca zespołowa pod redakcją *Józefa Pietera*. Katowice, Wydawnictwo Instytutu Pedagogicznego, 1947; str. 343 i 1 nl.

NAUKI I ZAGADNIENIA SPOŁECZNE

Świat o Niemczech i Niemcach. (2). Czciciele gwałtu i podstępu. Okładkę projektował art. mal. *Al. Krakowski*. Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1946; str. 52 i 2 nl. — 80 zł

Czym jest plan odbudowy gospodarczej. Okładkę projektował *Tadeusz Kryszak*. Warszawa, Komisja Popularyzacji POG, 1947; str. 58 i 4 nl. — 60 zł.

Bolesław Drukier. Tradycje przyjaźni demokracji polskiej i rosyjskiej. Materiał do referatu. Warszawa, Poradnik Pracownika Społecznego, 1946; str. 23 i 1 nl.

Władysław Gomułka (Wiesław), Józef Cyrankiewicz. Jednością silni — zwyciężymy. Przemówienia wygłoszone na zebraniu aktywu warszawskiego PPR i PPS w dniu 30. XI. 1946. Warszawa. „Książka“, 1946; str. 55 i 1 nl.

Stanisław Kamiński. Rzecz o Stanisławie Mikołajczyku. Warszawa, 1947; str. 28 i 4 nl

K. Lewocki. Korzenie faszystowskiego podziemia. Warszawa, Poradnik Pracownika Społecznego, 1947; str. 32.

Od wyzwolenia do planu odbudowy. Poznań, Komitet Centralny Związków Zawodowych i Związek Samopomocy Chłopskiej (1947); 16 knl.

Biblioteka Głosu Pracy. Nr 2. *Józef Sieradzki* Grzechy Stanisława Mikołajczyka. Kraków, 1946; str. 30 i 2 nl.

Józef Sworzeń. Co da chłopu plan odbudowy gospodarczej. Okładkę projektował *Tadeusz Kryszak*. Warszawa, Komisja Popularyzacji POG, 1947; str. 24.

Aleksander Szpakowicz. Co da robotnikowi plan odbudowy gospodarczej. Warszawa, Komisja Popularyzacji POG, 1947; str. 24.

Włodzimierz Szczepański. Zasady obradowania. Warszawa, Książnica Polska, 1946; str. 4 nl i 127 i 1 nl.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

F. Jungman. Il faut apprendre le français. Podręcznik do nauki języka francuskiego dla liceów handlowych i kursu dla dorosłych. Część I. Wrocław, Książnica-Atlas, 1946; str. 132.

Tadeusz Grzebieniowski. Podręcznik języka angielskiego na I rok nauczania. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 174 i 2 nl. — 65 zł.

Ministerstwo Oświaty. Plan godzin i materiały programowe dla 3-letnich szkół powszechnych dla dorosłych o ustroju semestralnym oraz na kursach dla dorosłych w zakresie szkoły powszechnej. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 64. — 30 zł.

Ministerstwo Oświaty. Plan godzin i materiały programowe dla gimnazjów i liceów dla dorosłych o ustroju semestralnym. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 116. — 70 zł.

Prof. dr. Eugeniusz Rybka. Wiadomości z astronomii. Podręcznik dla II klasy liceum humanistycznego. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 96. — 50 zł.

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria przyrodnicza. *Jan Sokołowski*. O sprytnej wronie, psotnym kruku i ich krewniakach. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 32. — 26 zł.

Ewa Szelburg-Zarembina. Najmilsi. Ilustrowała *Wanda Zawidzka*. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 118 i 2 nl. — 190 zł.

H. C. Andersen. Baśnie. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 148 i 4 nl. — 120 zł.

Baśnie z całego świata. W opracowaniu *Wandy Markowskiej* i *Anny Milskiej*. Ilustracje *Marii Różańskiej*. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 178 i 2 nl. — 200 zł.

Lucyna Krzemieniecka. O młynarzu Sylwestrze. Ilustracje *Zofii Fiałkowskiej*. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 57 i 3 nl. — 175 zł.

Hugh Lofting. Podróże doktora Dolittle. Przekład *Janiny Mortkowiczówej*. Ilustracje autora. Okładka *Teresy Roszkowskiej*. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 275 i 5 nl. — 250 zł.

Hugh Lofting. Doktór Dolittle i jego zwierzęta. Przekład *Wandy Kragen*. Ilustracje autora. Okładka *Teresy Roszkowskiej*. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 108 i 4 nl. — 120 zł.

Frances Hodgson Burnett. Tajemniczy ogród. Powieść dla młodzieży. Tłumaczyła z angielskiego *Jadwiga Włodarkiewiczowa*. Wydanie trzecie z ilustracjami *W. Sołowijówny*. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1946; str. 250 i 2 nl.

Irena Lewulis i *Bronisław Kamiński*. Bajki. Z ilustracjami *Ludwika Klimka*. Paryż, „Les presses rapides“, 1946; str. 61 i 3 nl.

Przyroda mówi... Biblioteka opowieści przyrodniczych. *K. Koberts*. Zbóje na cichych łapach. Opracowanie *Ireny Łozińskiej*. Ilustracje *Ireny Rzewuskiej*. Kraków, L. J. Jaroszewski, 1946; str. 38 i 2 nl.

POLITYKA

Krystyna Poznańska, Zygmunt Młynarski. Na obcej służbie. Warszawa, Poradnik Pracownika Społecznego, 1947; str. 24.

Józef Sieradzki. O szkołę nowej demokracji. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 32.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA“

LITERATURA PIĘKNA, POWIEŚĆ I NOWELA

GORKIJ MAKSYM - Matka, zł 360.-

GAŁAJ JULIAN - Mysłkowice wioska mała, 3 tomy zł 850.-
I. Paweł Łękis
II. Kameleony
III. Krystalizacja

RUDNICKI ADOLF - Profile i drobiazgi żołnierskie, zł 60.-
" " Wielkanoc, zł 20.-

W. WASILEWSKA - Ojczyzna, str. 276, zł 20.-

„KSIĄŻKA“

„TRYBUNA WOLNOŚCI“

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

w n-rze 4 (112) przynosi:

STANISŁAW NOCUŃ	— Więcej uwagi w wymianie towarowej
	— Dwa doniosłe akty „Mała Konstytucja“ i Amnestia
JERZY GÓRSKI	— Sukcesy ekonomiczne prawdziwej demokracji
BOLESŁAW DUDZIŃSKI	— Bez komplikacji
H. K.	— Przed rewizją sojuszu polsko-francuskiego
ZYGMUNT MILEWICZ	— Pozycje artykułów przemysłowych w planie trzyletnim
CELINA BOBIŃSKA	— Nasz Marian — O Marianie Buczku
MELANIA KIERCZYŃSKA	— „Rzeczywistość“ Putramenta
K. MARIAŃSKI	— Walka Polonii Amerykańskiej z reakcją
S. JAKUBOWICZ	— Reemigracja Polaków z Francji
ZYGMUNT MŁYNARSKI	— Prusy i Prusactwo
JADWIGA SIEKIERSKA	— Nasi agitatorzy

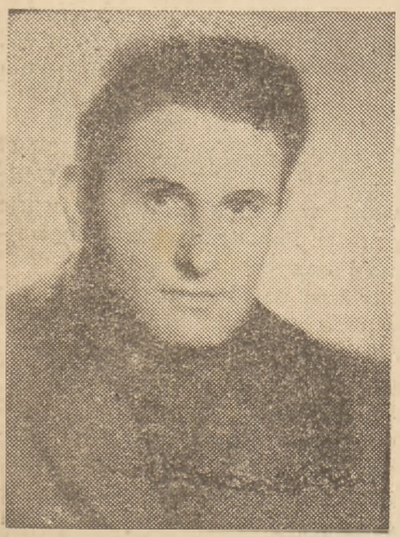
DZIAŁY:

Z tygodnia na tydzień — Na widowni międzynarodowej — Ruch robotniczy za granicą — Z życia partii — Kronika kulturalna

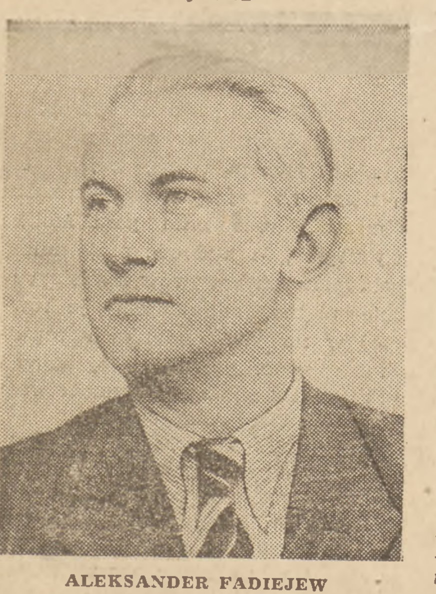
K R O N I K A I L U S T R O W A N A



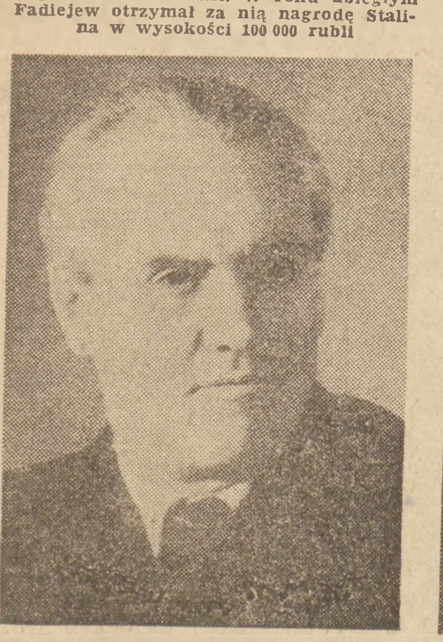
ROMAN BRANDSTAETTER
powrócił po siedmiu latach do kraju. Na emigracji napisał sztukę o Rembrandcie pt. „Powrót syna marnotrawnego“. Prapremiera sztuki odbędzie się w Pradze Czeskiej. Dwa akty „Syna marnotrawnego“ opublikuje „Twórczość“ w numerze kwietniowym. Pierwszą scenę nowego dramatu Brandstaettera o Mickiewiczu zamieści „Odrodzenie“ w jednym z najbliższych numerów



ADOLF RUDNICKI
autor książek „Lato“ i „Profile i drobiazgi żołnierskie“, które ukazały się niedawno nakładem „Książki“ w drugim wydaniu



ALEKSANDER FADIEJEW
jest obecnie sekretarzem generalnym Związku Pisarzy Radzieckich. Jego powieść „Młoda gwardia“ zdobyła wielką popularność w ZSRR. W roku ubiegłym Fadiejew otrzymał za nią nagrodę Stalina w wysokości 100 000 rubli



MIKOŁAJ TICHONOW
jest znanym w ZSRR pisarzem, poetą i tłumaczem. Do września roku ubiegłego stał na czele Związku Pisarzy Radzieckich

Scena robotnicza w opałach

Pod tym tytułem ukazał się w „Głosie Ludu“ (17. II. 1947) artykuł Alfreda Degala. Oto jego dwa fragmenty:

W kilka chwil później ujrzeliśmy wystawioną siłami Zespołu Miłośników Sceny komedię Niewiarowicza pt. „Gdzie diabeł nie może“.

Komedia była taka: początkujący, skromny lekarz czeka na próżno na pacjentów. Oczywiście jest bardzo kuso, głodno. Wtem zjawia się u niego dziewica. Szuka pracy służącej. I również na próżno. Młodzi dochodzą do wniosku, że obojgu krucho.

Lecz dziewczyna okazuje się „z ideałami“. Ona proponuje młodemu lekarzowi spółkę. Jej „idea“: zwabiać pacjentów przez fikcyjne ogłoszenia do prasy, sfingowane podziękowania cudownie wyleczonych itd. On — wzbrania się. Ona wymyśla mu od „niemężczyzn“. (W ciągu całej sztuki będzie mu ciągle wyrzucać: „Pan nie jest mężczyzną“. „Co z pana za mężczyzna“ itp.). Wykazuje mu, że on sam mimo woli robi w życiu małe oszustwa, więc można robić troszkę większe. Jednym słowem, ona — według autora — „dzielna kobieta“, on — ciamajda.

Wreszcie doktór ulega. Panna bierze się do dzieła. M. in. zmusza lekarza do udawania dentysty przed starym piernikiem, który przyszedł z chorym zębem, potem nabiera tego ostatniego na pożyczkę, obiecując mu randkę... i — można się domyślić — co więcej... Przy czym przez trzy akty wygłasza z miną apostoła kazania i maksymy, strofując lekarza za „głupie“ skrupuły.

Wreszcie reklama i blaga robią swoje — pacjenci walą całym stadem. Lekarz wzbogacił się i wreszcie, po przezwyciężeniu ostatnich skrupułów, żeni się oczywiście ze swoją „dzielną“ wspólniczką. On ją już dawno kochał, ale przez „przyzwoitość“ i przekorę przez trzy akty po grubiańsku „obzywa“ ukochaną. I kiedy wreszcie padają sobie w objęcia, dowiadujemy się od nich wstrząsających „prawd“, iż (Ona): „Mężczyzna jest zawsze mężczyzną“. (On): „A kobieta — zawsze kobietą“.

Więcej już rewelacyjnych maksym publiczność nie ma możności uzyskać, albowiem kurtyna opuszcza się wreszcie ze skrzypem.

Jednym słowem: Wiwat blaga — uczciwość nie papierek!

Streściliśmy tę płaską i niesmaczną szmirę, aby dać pojęcie, jak realizuje się ideę wychowania i kształcenia mas przez sztukę.

— — — — — — — — — — — — —

Czy jest doceniana przez odpowiednie instancje rola i wpływ tych teatrów, których jest u nas w Polsce tysiące? Czy ktokolwiek okazuje pomoc młodym, improwizującym reżyserom zespołów amatorskich?

Obawiamy się, że sprawa teatrów amatorskich jest całkowicie zaniedbana i pozostawiona samopas, co przyczynia się do skrzywienia całego szeregu samorodnych talentów, do zepsucia smaku estetycznego masowego widza, który bardzo chętnie odwiedza swój terenowy teatr.

Pytamy się: kto zbawi nasze robotnicze zespoły, zasługujące na najgorętsze poparcie i ich publiczność od „tonu wytwornego“ i „rdzennych walorów“ takich kiczów, jak Niewiarowicza „Gdzie diabeł nie może“?

Alfred Degal

Prawo do zabawy

Praw do lekkich scen i muz można bronić w rozmaity sposób. Kraków ma obecnie dwie instytucje widowiskowe, które gorszą Kryspusów (por. „Quo vadis“) z prawa i z lewa, a bawią tłoczącą się publiczność. Nie rozdzieram szat z powodu gościny teatru operetki pn. „Komedia Muzyczna“, nie gryzę się powodzeniem „Siedmiu Kotów“, jedynego — jeśli się nie mylę — teatrzyku kabaretowego, usiłującego wznowić i podtrzymać tradycje kabaretu literacko-artystycznego, tradycje „Qui pro quo“.

Rzecz prosta, pomiędzy wystawieniem „Hrabiny Maricy“, oblatanej po wszystkich scenach europejskich operetki Kalmana, a programami „Siedmiu Kotów“ jest przepaść stylu i rodzaju odbiorców, dla których obie imprezy są przeznaczone. Utarte wzory przyświecają „Hrabinie Maricy“. Chodzi o dorównanie „dawnemu poziomowi“. Z jakim wynikiem? Spektakl w „Komedii Muzycznej“ jest przyzwoity, oszczędności nie rażące, doświadczona diva *Elna Gistedt* wciąż w dobrej formie, stare wygi operetkowe *Pilarski* i *Karasiński* rozśmieszają nieomylnie, *Kołpikówna* i *Papliński* tańczą kulturalnie. I czemu wzbraniać ludziom pustej ale niewinnej rozrywki?

„Siedem Kotów“ po trzech programach-składankach porwało się na wystawienie granej niedawno w Warszawie komedio-rewii Gozdawy i Stępnia „Moja żona Penelopa“. „Siedem Kotów“ ma ambicje intelektualno-inteligenckie, do minimum ogranicza dowcip seksualny, stara się unikać szablonu i szmiry. Humoru absurdalnego (Gałczyński) „Koty“ jakby się nieco zlękły — szkoda. Groteska i parodia są najsilniejszą bronią tego „teatru miniatur“, użytą też z powodzeniem w „Penelopie“.

Utwór ma tyle wspólnego z antykiem co Tsaldaris z Temistoklesem. To Offenbach doprowadzony do ostatecznych konsekwencyj: Penelopa pracuje w kawiarni, zredukowany Zeus handluje żarówkami, połowę tekstu wypełniają zręczne dowcipy na tematy lokalne i aktualne, z nieśmiertelną kinofikacją na czele. Dobrych dowcipów politycznych też nie brak. To bardzo dobrze: zwyżka humoru jest zwyżką nastroju.

Nieco mdły produkt warszawskich autorów dosmażyli krakowscy „Bracia Rojek“, nie żałując soli (attyckiej?). W głównej roli Zeusa, łasego na wdzięki wiernej małżonkowi Penelopy, wystąpił *Kazimierz Szubert*, o którym miałem okazję pisać na tym miejscu jako o jednym z najwybitniejszych komików polskich. Styl gry Szuberta jest jednak teatralny, a to znaczy coś innego niż: rewiowy. Szubert czuł się skrępowany i wymiarami scenki i typem sztuki, w której mu zagrać przyszło. Dlatego ustąpić musiał pierwszeństwa parze majstrów gry rewiowej: *Irenie Kwiatkowskiej* i *Wojciechowi Ruszkowskiemu*, którzy zbierali zasłużone brawa za nieodpartą *vis comica*, zwłaszcza w momentach kabaretowych. Reszta zespołu starała się iść za ich wzorem.

Kulturalne dekoracje *Eilego* i estetyczne kostiumy *Kamyczka* stwarzały dowcipną mieszaninę epok i stylów, jak w tej zabawnej piosence, która kończy przedstawienie.

Jaszcz

Niejaki Homer

Juliuszowi Żuławskiemu bardzo się nie podoba „Homer i Orchidea“ Tadeusza Gaycego (por. „Kuźnica“, nr 8). Każdemu wolno. Ale Żuławski w rozpędzie na biedną Orchideę posłużył się paroma chwytami wątpliwej czystości, których zwłaszcza wobec kobiet stosować nie wypada.

1. „Wytworni ludzie teatru twierdzą, że „trzeba pięć utworów scenicznych napisać, aby piąty pokazać na scenie“. A kiedy nieżyjący Gaycy ma napisać te dalsze cztery, by nareszcie nauczył się pisać? A jeśli nie napisze, bo nie żyje, czy nie należy tym samym wystawiać jego pierwszej i jedynej sztuki? Wreszcie — jeżeli piąta sztuka bywa *dobra, czy to oznacza automatycznie, że pierwsza* musi *być zła? Znają ten kruczek podręczniki logiki.*

2. „Ta nieugruntowana w żadnej rzeczywistości historycznej, dowolnie pomyślana baśń o życiu i losach mitycznego Homera“. Bardzo ciekawy zarzut! Żuławski zapewne zna sztuki o Homerze ugruntowane w rzeczywistości historycznej. Czekamy na tytuły. A może posiada nieznane dokumenty świadczące, że niejaki Homer istniał? Bo jak dotąd, tenże sam Homer jest „nieugruntowany w żadnej rzeczywistości historycznej“.

3. Żuławski twierdzi, że tylko po to warto pójść na przedstawienie „Homera i Orchidei“, by posłuchać przekładu „Odyssei“ pióra Wittlina. Ponieważ recytacja Woszczerowicza jest długa, raczej skłonni jesteśmy przypuścić, że Żuławski zdrzemnął się po homerycku słuchając, aniżeli to, że napisał naprawdę ze słuchu. Tej kakofonii potworków językowych i złego smaku, jaką jest przekład Wittlina, wszyscy słuchają chyba z watą w uszach, a czytają z homeryckim bielmem na oku, jeśli wygłaszają o niej takie sądy. Chyba że Żuławski w ten przewrotny sposób chciał powiedzieć, że tekst Gaycego nawet od Wittlina jest gorszy.

Rozumiemy.

jak

KORESPONDENCJA

KONIEC „ZYGMUNTA IV“

Do redaktora „Odrodzenia“

W notatce „Dla odprężenia nerwów“ („Odrodzenie“, nr 3) przy okazji wydobycia na światło dzienne wesołego hrabiego Montalk-Potockiego, wspomniano też i o jego „konkurencje“ Zygmuncie IV, recte Zygmuncie Wilskim (nie Wirskim, jak mylnie pisze Jaszcz ku oburzeniu innego Wirskiego, tego od „Portretu generała“).

Jako długoletni sprawozdawca sądowy prasy stołecznej, stykałem się często z Zygmuntem Wilskim, niezmordowanym klientem mej rubryki. Podczas okupacji wpadł mi w ręce list jego żony (też niezłej wariatki), Hedwig Wilsky. Podała się ona za volksdeutschkę i do władz niemieckich wniosła podanie o tłustą posadkę, opisując marny koniec swego małżonka.

Otóż Zygmunt Wilski miał umrzeć po prostu z głodu, w pierwszych miesiącach okupacji. Przed śmiercią dał się poznać władzom niemieckim z petycji w swoim stylu. Oto twierdził, że dowódca obrony stolicy gen. Rómmel tuż przed kapitulacją Warszawy podarował mu kamienicę przy ul. Kredytowej 9, w zamian za zabrany przez Niemców folwarczek w Sierpeckiem czy Płockiem. Domagał się zatem, aby Niemcy honorowali tę darowiznę. Oczywiście, okupanci wyśmieli pomieszańca i znieważyli czynnie „Majestat Królewski“. Zygmunt IV wziął tak głęboko do serca tę zniewagę, że rozpoczął głodówkę i wkrótce rozstał się z tym światem.

Władysław Roguski (Warszawa)

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Odrodzenia“

Zmuszony jestem prosić o nieidentyfikowanie mnie z osobą tego samego nazwiska i imienia, która stała się ostatnio głośna dzięki komunikatom radiowym i prasowym z Londynu. Osoba ta, przebywająca już od szeregu lat poza granicami kraju, przypisuje sobie podobno autorstwo mych prac literackich i publicystycznych.

Przy okazji prostuję błąd zecerski, który wkradł się do zamieszczonego w nr 6 (115) „Odrodzenia“ wiersza mojego pt. „Powrót“. W drugiej strofie (trzeci wiersz) winno być „Riverside'u rzeka kręta“ — nie: „Kiverside'u“.

Eugeniusz Żytomirski (Warszawa)

SPROSTOWANIE

W artykule Przybosia „Ręce za lud walczące“ Nr 8 w szpalcie 3 w. 40 od dołu zamiast „o gwiazdach bajania“ ma być „o gwiazdach gadanie“.

„PROMIENIŚCI“ GRZYBOWSKIEJ W KRAKOWIE



Stary Teatr w Krakowie wystawił sztukę o Mickiewiczu Krystyny Grzybowskiej „Promieniści“. Staranna reżyseria WŁADYSŁAWA ZIEMBIŃSKIEGO, ładne dekoracje ANDRZEJA STOPKI i gra aktorów z LUDWIKIEM SOLSKIM na czele tworzą ujmującą całość. Na zdjęciu scena z aktu pierwszego



Projekt dekoracji ANDRZEJA STOPKI do aktu drugiego „Promienistych“ K. Grzybowskiej

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62. Prenumerata miesięczna 60 zł., kwartalna 180 zł.

M — 14 691

Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“.

BIBLIOTEKA W.S.P. w Gdańsku